

Józefa Sawicka

Druga żona



Józefa Sawicka

Druga żona



Fundacja Festina Lente

Wyjeżdżaliśmy z malutkiej stacji, zaledwie wykończonej. Na nowej drodze pociągi kursowały tymczasem według potrzeby, stosując się więcej do przewożonych materiałów niż do podróżnych, którym niepilno jeszcze było ryzykować życie i tracić czas, wlokąc się pięć wiorst na godzinę.

Na stacji tedy z obcych ani żywego ducha! Za to nasza kawalkada, liczna, hałaśliwa, przypominałaby trochę żydowskie wesele, gdyby nie miała pretensji do dobrego tonu i najwyższej dystynkcji. Dzień był słoneczny, jesienny; z pozostałych kilkunastu brzoź po wyciętym wzdłuż plantu lesie wiatr rozsypał garść żółkłych liści na peronie. Przechodząc do wagonu, podniosłam ich kilka. Pensjonarski zwyczaj: dawniej, wracając z wakacji na pensję, zabierałam kwiaty na pamiątkę – teraz, jadąc w poślubną podróż, zabrałam kilka suchych liści. Jesienią, po pierwszych przymrozkach, o kwiaty trudno; nikt też nie pomyślał, żeby mnie pożegnać chociaż przywiedłym bukietem. Nie chciano może robić przytyku do spóźnionego nieco zamążpójścia. Na stację przybyli wszyscy prosto od śniadania: panie zaledwie zdołały schwycić zarzutki, panowie wyszli z cygarami w ustach; pozujący na znudzonego oryginała „złoty Bolo” przyszedł ze szklanką wina. Na tej „dzikiej” stacji wszystko ujdzie, zresztą byli przecież u siebie: plant przerzynał park dworski. Pan zawiadowca zawczasu

oświadczył służbie, że będzie strzelał psy, koty, nawet kury, wkraczające bez pozwolenia na dworskie terytorium. Jako zapowiedź przyszłych sąsiedzkich stosunków, otrzymał za to ślepego kasztanka, na którym próbował czasami wyprzedzać rozpędzoną niby lokomotywę. Czy kasztanek zarzął do dworskich koni, przybyłych na stację, czy zawiadowca wiedział już, co się komu należy – na peronie w okamgnieniu wystawiono więcej krzeseł, niż było potrzeba. Zasiadły na nich tylko poważniejsze panie, dwóch podagrycznych wujaszków i stary pinczer. Wesołe kuzynki śmiały się, skupione około mnie; panowie, usposobieni poważniej obiadem i toastami, spoglądali na jedyny wagon pierwszej klasy, marząc o wygodnej kanapce. Powiedziano mi już wszystko, co się mówi w takich razach; życzono, całowano w rękę i w oba policzki; przez pięć minut aż duszno było od szczerej i konwencjonalnej serdeczności. W końcu nie było już nic do powiedzenia. Po pierwszym dzwonku weszłam do wagonu, chociaż majstrowano coś jeszcze przy maszynie, czy może gdzieś na drodze most wykończano naprędce, a prowadzący pociąg oznajmił, że odjeżdżamy za kwadrans zaledwie, jeżeli nic ważnego nie stanie na przeszkodzie.

Ledwie wsiadłam do wagonu, już całe towarzystwo zapomniało, że żyję na świecie. Wśród różnobarwnych kuzynek i trochę ociążałych kuzynów zapanował gwar donośny. Naradzano się, co zrobić z resztą dnia – zaprojektowano jechać do następnej stacji. Projekt upadł, każdy doradzał co innego, a wszystkim razem pilno było wracać do domu „z tej nudnej stacji”, gdzie właściwie nic już nie było do roboty. Ciotka marszałkowa z dziesięć razy już przeżegnała mnie z daleka, sądząc, że tym sposobem przyśpieszy trzeci dzwonek i świst odjeżdżającej lokomotywy. Podagryczni wujowie ziewali; młodzi oglądali niby strukturę miniaturowego dworca o żółtych ścianach, czerwonym dachu

i jednym kominie; wszystkich ogarniała dręcząca niecierpliwość, właściwa stacjom kolei, gdzie wszyscy zawsze skazani są na czekanie. Opuścić stanowiska przed odejściem pociągu nie wypadało. Odprowadzano wprawdzie tylko ubogą kuzynkę, wydaną za urzędnika, *mais ça ne fait rien* [fr. *ale nieważne* – przyp. red.] – jak trzeba, to trzeba! Panowie nawet bardzo uprzejmie zgrupowali się około pana młodego. Wuj Adam, w popielatym garniturze, z nasturcją w butonierce, w panamie zsuniętej nieco na tył głowy, śmiał się, nadrabiał rezonem, chociaż kolana uginały się chwilami od długiego stania – a dzwonka wciąż jeszcze nie słyhać! Stella – najdowcipniejsza z kuzynek – zaproponowała powrót do domu na herbatę albo na poczekaniu chociaż partię wista bez panów, którzy każdą grę na świecie przedłużają niezdecydowaniem i brakiem sprytu. Posłała męża po ciepły szal do powozu; odwołała go z drogi, przypomniawszy, że nim zdąży spełnić najprostsze zlecenie, to nawet pociąg z miejsca ruszyć się potrafi. W końcu usiadła na krześle, ręce skrzyżowała na piersiach, rozparta wysunęła nóżki z pod sukni. Słońce oblewało jej śliczną figurę w czarnym aksamitnym kostiumie, oświecało przezroczyście cerę, rudawe włosy, załamywało się w pysznych brylantowych kolczykach. Mrużyła oczy przed słońcem, widziała jednak, że wszyscy patrzą na nią, że nawet mój mąż, rozmawiając z wujem Adamem, obejrzał się parę razy w jej stronę – lecz cóż ją to mogło obchodzić? W tej chwili wpakowałyby ich wszystkich do wagonu, nie wyłączając męża, byleby razem z nimi ruszył i ten pociąg nieszczęsny, chociażby na koniec świata! Utrzymywała stale, że na świecie chyba za dużo jest mężczyzn, szukających własnej zguby; w przeciwnym bowiem razie, ona, najkapryśniejsza z kobiet, nie powinna byłaby znaleźć męża, który ją kocha w dodatku! Obiecywała

za to, że z czasem wykieruje go na porządnego człowieka, jeżeli w dalszym ciągu będzie jej posłusznym.

Z całego towarzystwa jeden tylko mój mąż nie nudził się wcale. Z kapeluszem w rękę, w długim paltocie w kratki, w żółtych rękawczkach z czarnym wyszyciem, stał w kółku mężczyzn, uśmiechnięty, ożywiony; odpowiadając na pytania, skłaniał lekko głowę przed mówiącym. Ten ruch przesadnej grzeczności zaczynał mnie drażnić; rozmawiając przez okno z ciotką, śledziłam jego ruchy, łowiłam słowa. Widziałam, jak podane sobie dwa palce wuja Adama schwycił, ścisnął kilkakrotnie, kłaniał się przy tym zbyt nisko. Z rozpromienioną twarzą zwracał się kolejno do wszystkich, chwycił skwapliwie podawane sobie palce, dziękował im za coś, może za banalne słowa grzeczności, które w różowym usposobieniu ducha za słowa uznania przyjmował. Jeden ze staruszków, znudzony oczekiwaniem, poszedł pożegnać go przed dzwonkiem; idąc, ziewnął parę razy i z daleka już wyciągnął do niego sztywne palce. Karol i tę rękę schwycił, zatrzymał w dłoniach, kłaniał się uprzejmie, a staruszek ponad jego głową powiódł okiem po otaczających i wzruszył nieznacznie ramionami. Karol go do drzwi dworca przeprowadził, tam jeszcze raz po rękę sięgnął. Wróciwszy do stojących przy placie mężczyzn, opowiadał coś z uśmiechem, wskazując kilkakrotnie w stronę, gdzie odszedł staruszek. Mówił zapewne coś dowcipnego, gdyż śmiał się szczerze, pokazując białe zęby wśród czarnego zarostu, ale śmiał się sam jeden. Obecni z poważnymi minami oglądali cygara lub paznokcie. Gdy mówić przestał, wszyscy jednoznacznie obejrżeli się na dzwonek, przy drzwiach zawieszony. Nawet wuj Adam, niezmiernie uprzejmy, odszedł w końcu od niego i biegał po peronie z rękoma założonymi za plecy. Inni też rozeszli się dokoła, a panowie tymczasem, rozmawiając z damami, skupili się w sali dworca. Widziałam, że się waha,

czy ma podejść do nich, czy zostać na miejscu. Zawołałam go – udał, że nie słyszy; czyhał na wuja Adama i już nawet parę kroków ku niemu postąpił, błogo uśmiechnięty, gdy dzwonek się nareszcie odezwał. Z dworca wybiegła wujenka Adamowa z chusteczką przy oczach, za nią lokaj niósł kosz owoców i torbę z podróżnymi zapasami.

Nastąpiło ostatecznie, a dla mnie jedyne serdecznie pożegnanie. Popłakałyśmy się obie, w ostatnim pocałunku oddałam jej część swej duszy. Wychodząc zapłakana z wagonu, uniosła z sobą moją wdzięczność bez granic, przywiązanie córki. Stokroć więcej nawet: przywiązanie siostry, która tylko ją jedną miała na świecie!

Pociąg ruszył. Karol długo jeszcze machał przez okno chusteczką, kłaniał się z najwdzięczniejszym uśmiechem. W końcu usiadł naprzeciw mnie na sofie, przesunął ręką po czole.

– Mili ludzie! – szepnął rozmarzonym głosem.

Patrzył czas jakiś przez okno na sunące się z wolna wzdłuż drogi drzewa i krzaki, oczekiwał widocznie, kiedy ja chusteczkę od twarzy odejmę. Szanując moje wzruszenie, sięgnął do kosza z owocami i zaczął jeść gruszki jedną po drugiej.

Na tle pąsowej kanapy, z gutaperkową poduszką pod łokciem, z pledem na nogach, wydał mi się trochę innym niż dawniej. Rozparł się wygodnie, mrużąc oczy; promień słońca, ślizgający się chwilami po twarzy, oświecał śniadawą cerę, piękny czarny zarost, sieć zmarszczek koło oczu i srebrnawe włosy w lśniącej czarnej czuprynie. Powolny ruch pociągu usposabiał do snu; Karol pochylił głowę, brodę przycisnął do piersi i – chrapnął... mimo woli zapewne. Ocknął się natychmiast, wyprostowany spojrzął przelotnie na mnie, pochylił się do okna, spoglądał na okolicę – ociężałe powieki przymykały się co chwila. W ogóle rozmownym nie był,

choć przeczuałam, że miałby wiele do powiedzenia i milczy tylko z zasady. Wyglądał tak inteligentnie! Piękny brunet, pojawiający się kiedy niekiedy na arystokratycznych rautach, od razu zwrócił moją uwagę.

Powiedziano mi naprzód, że to jest śpiewak z Włoch, bawiący przejazdem w mieście; potem, że jakiś attache posła francuskiego, rozkochany w znanej piękności z wielkiego świata; w końcu, po przeprowadzeniu drobiazgowego śledztwa, dowiedziałam się, że jest tylko członkiem jakiegoś banku, z którym wuj Adam i wielu innych mieli ważne sprawy. Wówczas już było mi wszystko jedno, kim był, byle był! Stał zwykle przy drzwiach w tłumie czarnych fraków i białych krawatek; stopniowo awansowano go w ką przy piecu; nareszcie trafem jakimś znalazł się przy oknie, w cieniu olbrzymiej palmy i tu, przypadkiem, zawiązaliśmy z sobą pierwszą rozmowę. Byłam przekonana, że mnie zna, że śledził mnie wzrokiem od dawna, że wie o moim chrzestnym imieniu, a w myślach spieszczą je może z szorstkiej Teodory na Dorę, Dosię itd. Właściwie mówiąc, to ja sama robiłam to wszystko, myśląc o nim. Przeczuałam, jak niecierpliwie wyczekiwał pierwszej ze mną rozmowy, jak gwałtownie bije mu teraz serce! Tyle razy patrzyliśmy na siebie z daleka: zdawało mi się czasami, że, ujrawszy mnie, skłaniał głowę nieznacznie, jak kłos przy lekkim powiewie wiatru. Triumfowałam wówczas, chociaż było to może tylko złudzenie, wywołane perspektywą salonu i ciągłym ruchem gości. Znaliśmy się tedy w krainie marzeń, obcowaliśmy z sobą nawet dość poufale; spotkawszy się jednak pod palmą, na razie nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia. Jako krewna gospodarstwa, z obowiązku bawiłam gościa. Na parę moich uwag o licznych zebraniach, o zbyt gorącym, skłonił tylko głowę i milczał jak posąg. Czekałam, kiedy przemówi. Pewną byłam, że usłyszę głos trochę stłumiony.

– Zapewne to pani papuga? – spytał, wskazując wśród wazonów złoconą klatkę z zieloną papugą. – Śliczny ptak i śliczna klatka!

Spojrzał na mnie: widziałam, jak po ustach prześlizgnął mu się ironiczny uśmiech. Jak on to powiedział: „Śliczny ptak i śliczna klatka!” – wyraźnie przymówka do mnie! Żyłam przecież jak ptak w złoconej klatce, karmiona i chowana z łaski bogatych krewnych. On, człowiek oddany pracy, staczający walkę z życiem, przypomniał mi to nieznacznie zaraz przy pierwszej rozmowie! Uczułam dla niego od razu serdeczną wdzięczność; gorzką prawdę może mówić tylko szczerzy przyjaciel. Myślał zapewne nieraz o moim położeniu i – jako człowiek stojący o własnych siłach – miał trochę współczucia dla zawieszanej między niebem a ziemią istoty.

Odpowiedziałam mu z całą szczerością:

– Nie, panie, do mnie tu nic nie należy!

– Taak! – odrzekł przeciągle, zmierzył mnie od stóp do głowy zdziwionym wzrokiem, widocznie nie spodziewał się takiej szczerości.

Rozmowa ożywiła się stopniowo.

– Pani często bywa na zabawach? – spytał, usiadłszy obok mnie na krześle.

Nie pamiętam, co mu odpowiedziałam, w rozmowie słowa grały podrzędną rolę – kiedy mnie zapytywał, czy wolę walc, czy polkę – kiedy patrzył przy tym w oczy badawczo, wiedziałam, że nie o tańce mu chodziło. Chciał poznać moje upodobania, chciał zbadać, czy strona moralna harmonizuje z powierzchownością. Znał mnie z widzenia, teraz poznawał moją duszę – to mnie zachwycało. Idealem moim zawsze był człowiek głębokiego umysłu, żelaznej woli i wytrwałej pracy. Cechy te odgadłam w nim już wówczas, gdyśmy z daleka przesyłali sobie badawcze spojrzenia,. Bładawy brunet, z głębokimi oczyma, wytwornie okazały, musiał mieć i rozum, i

wolę, i samodzielność; duszę jego odgadłam wprzód, nim do mnie przemówił. Jakież znaczenie mogły mieć przy tym słowa, puste dźwięki, wywołane konwenansem, okolicznościowe, dowcipne albo tylko nudne zapytania i odpowiedzi! Zresztą mówił niewiele, więcej słuchał, chciał mnie poznać; ja zaś poznawać go nie potrzebowałam: kobiety posiadają niezrównany instynkt, zastępujący krytycyzm i rozwagę. Dawniej śmiałam się z tej właściwości, wspólnej wszystkim zwierzętom, ptakom, bodaj nawet i żabom; teraz podziwiałam tylko, że moje marzenia spełniły się co do joty. Nawet krój fraka, całe ubranie bez zarzutu, zdawało się być dopasowanym do całości, chociaż o takich drobnostkach nigdy nie myślałam z osobna. Spotkawszy nadspodziewanie ideał, wymarzony niemal od lat najmłodszych, uczułam się nad wyraz szczęśliwą, gdy po kilku rozmowach, mniej więcej do pierwszej podobnych, mogłam zostać jego żoną. Stosunki, stanowisko, świat cały, wydawały mi się czymś w rodzaju ciemnych plamek, rojących się przed zmęczonym wzrokiem po długim wpatrywaniu się w światłość. Mrużyłam oczy, żeby ich nie widzieć; zresztą, co mnie to wszystko mogło obchodzić! Wyszlachetniałam do niepoznania; przez sen nawet powtarzałam sobie w duchu, że będę się starała dorównać mu we wszystkim, stanę się godną jego miłości. Dowiedziawszy się, że ma córeczkę z pierwszej żony, pokochałam raptem wszystkie dzieci, uśmiechałam się do każdego maleństwa na ulicy; słuchając o sierotkach, miewałam łzy w oczach! Gdybym nie była przekonana, że wyborem moim kieruje rozsądek, znajomość życia, właściwa mniej więcej każdej dwudziestopięcioletniej pannie, posądziłabym siebie o szaloną miłość; tak źle jednak nie było. Szalona miłość jest ślepa, ja zaś widziałam dobrze braki w moim narzeczonym, które czasem się zwiększały, najczęściej jednak znikwały zupełnie sprzed oczu.

Uśmiechnął się do mnie, ujrawszy, że w końcu odjęłam chusteczkę od oczu. Ten uśmiech zastępował rozmowę: uwalniał go od oklepanych frazesów, dla mnie zaś był dostatecznie zrozumiałym. Zaczął się unosić z kolei nad wszystkimi krewnymi, których żeśmy zostawili na stacji.

– Pyszni ludzie! – powtórzył kilkakrotnie, nadymając z lekka policzki. – Niezmiernie mili ludzie!

Zdawało się, że cały czas naszej milczącej podróży tylko o nich myślał.

Od dawna już zauważyłam, że w najdrobniejszych nawet szczegółach ubrania, w ruchach i wyrażeniach, przypominał „złotego Bola”, na drogę też ubrał się jakby w jego garnitur: kraciasty popielaty surducik, szare spodnie, miękki popielaty kapelusz i duńskie rękawiczki, przesiąknięte zapachem stajni. Podobieństwo wypływało może ze wspólnych gustów; lecz przelotne nadymanie policzków i wyraz „pyszni!” były już widocznym naśladownictwem. Uśmiechnęłam się w duszy; uśmiechałam się potem coraz częściej – z hojnych napiwków, z pogardliwego milczenia wobec przypadkowych naszych towarzyszy podróży, z całego wielkopańskiego szyku, z którym mu było bardzo do twarzy. Serdecznym śmiechem wybuchnęłam dopiero w Wiedniu, gdy nas zapisano w hotelową księgę jako „Herrschaft Duwnar Suchocki, Gutsbesitzer”.

Ja nigdy w życiu nie miałam nawet kwiatowego ogródka; on posiadał wprawdzie kamienicę, ale tak obdłużoną podobno, że wstyd było do niej się przyznawać. W przyszłości miał wprawdzie odziedziczyć po ciotce aptekę w żydowskiej dzielnicy miasta i kawał gruntu w sąsiedztwie cmentarza, którego wartość epidemia chyba mogła podnieść z czasem; teraz jednak oboje zasługiwaliśmy raczej na miano ptaków niebieskich, niemających nic wspólnego z ziemskim bogactwem. Śmiałam się tedy, nawet chciałam odwołać

kelnera i, przekreśliwszy zaszczytną nazwę, „Bettelurm” dopisać w szczerości ducha. Karol ściągnął brwi, skarcił mnie wzrokiem jak niesforną pensjonarkę. Po twarzy jego przemknęła chmura, znikła w mgnieniu oka, lecz pozostawiła chłód w oczach i przykry grymas na ustach. Ho, ho, mieliśmy tedy podróżować pod pseudonimem bogaczy – to mnie trochę zastanowiło.

Nie cierpiałam mistyfikacji, nawet o latach swoich mówiłam otwarcie. Karol zauważył zmianę na mojej twarzy; milczał i gryzł zgasłe cygaro.

Siedzieliśmy na balkonie, wychodzącym na rodzaj ogródka, urządzonego z wiedeńską elegancją: dokoła asfaltowy chodnik, pośrodku klomb z róż, otaczających białą marmurową bachantkę z gazową latarnią w ręku; równiutko przystrzyżone drzewka wkoło chodnika tworzyły niewolniczo akuratywny wianeczek; przy jakichś drzwiach w kącie usychała olbrzymia datura w zielonej beczce; trzy liście w górze żyły jeszcze, kilka zwiędłych, zwiniętych w trąbkę, zwieszało się wzdłuż łodygi zbyt wybujałej, w klombie róż wyglądałyby rażąco... o cały łokieć przerosła piękne drzewka, zgrabnie przystrzyżone – usychała tedy na uboczu, w pokojach, na schodach nawet, już dla niej miejsca nie było. Przechodzący panowie gasili koło jej łodygi niedopalone cygara, panie zaczepiały parasolkami o trzy ostatnie liście, malutka ptaszyna bujała się sama jedna na liściu, gdy setki jej towarzyszków świegotały wśród krzaków różanych, trzepotały się w zakurzonych liściach zgrabnych drzewek. Biedna datura! Karol też rzucił na nią niedopalone cygaro.

– Cóż się tu mojej pani nie podobało? – spytał. – A, głupstwo! Zawsze lubiłem szyk i hołdy, no bo przywykłem do tego od dziecka. Teraz chciałbym posiadać bogactwa całego świata... dla ciebie! – dodał nad samym moim uchem.

Miły Boże, jakie też głupstwa plół ten człowiek! Żebym była z piany, z obłoku lub z mgły, a zamiast duszy miała błędny ogień, wymagający sztucznego pielęgnowania, to i tak jeszcze byłoby mi za miękko, za rozkosznie i za nudno w tej cieplarni, jaką stworzyłby dla mnie, gdyby mógł... Słuchałam jednak! „Moja ty pieścuchko!” – powtarzał coraz częściej, a pomimo tego żałował, że nie posiada lampy Aladyna! *Excusez du peu!* [fr. *Proszę wybaczyć, że tak mało!*]

Mnie bajki opowiadała niegdyś stara panna, uważająca miłość jako klucz do wszelkich skarbów; powtórzyłam mu ten śmieszny pogląd na uczucia.

– Miłość – odrzekł – wiesz co? Może ta twoja stara panna miała rację! Ja też miałem trochę egzaltowaną matkę. Do śmierci nie wyleczę się ostatecznie z jej zasad, chociaż była to święta kobieta i chciałbym umrzeć z jej imieniem na ustach.

– Umierając, przez omyłkę możesz wymówić moje imię albo jakieś inne; ukochane imiona kobiece tak się dziwnie płaczą czasami. Więc czy nie lepiej byłoby nie leczyć się wcale z jej zasad?

– Trudno! Życie nauczyło już czego innego. Jestem stary grzesznik! – dodał bardzo serio.

– Żałujący za grzechy?

– Teraz żałuję tylko, że cię poznałem może już trochę za późno.

– Moglibyśmy się wcale nie poznać! Szczęście spóźniło się trochę, ale nie minęło: za to zatrzymamy je do końca życia. Czy zgoda?

Zgodziłby się na jeszcze dziwniejszą propozycję. Na razie jednak nic mnie innego nie przychodziło na myśl, on też chyba tylko o naszym szczęściu myślał. Wyleczył się ze swej sztywności, zapomniał brwi ścierać i patrzeć nieruchomo przed siebie; nawet przed wystawami sklepów zatrzymywał się coraz rzadziej, chociaż na strojach, na drobnostkach

różnych, na perfumach, aksamitach, jedwabiach, znał się jak elegantka; znał nawet specyficzne nazwy niektórych przedmiotów, pochwycone żywcem z buduarów. Ten człowiek chyba połowę życia był krawcem, bo robił niezmiernie trafne uwagi o toalecie, jednym rzutem oka oceniał wartość stroju i... wystrojonej.

– Szkoda, że szyć i krajać nie umiesz; byłbyś użytecznym w domowym gospodarstwie – rzekłam, wysłuchawszy mistrzowskiej lekcji o potędze strojów, o czarującej sile, właściwej każdej pięknej, elegancko ubranej kobiecie.

– Jestem za to wybornym doradcą: wykieruję cię na wykwinną kobietę. Zobaczysz!

Mrużył przy tym oczy, poruszał nozdrzami, jakby się zawczasu nasycił moim powodzeniem. Śmiał się z moich teorii, nazywał je zasuszonymi kwiatkami z panięskich pamiątek. Chcąc go nawrócić, nie podnosiłam nigdy tej kwestii: mężczyzna nie lubi abdykować ze swych przekonań; tylko na przechadzkę wzdłuż „pysznych” wystaw sklepowych chodzić przestałam. Przesiadaliśmy coraz częściej w domu, na balkonie, osłoniętym ze wszech stron winem, gdzie mógł swobodnie zapijać selcerską wodę, palić cygaro, w pantoflach, bez krawatki, w żakiecie na jedwabnej podszewce, bujał się sobie w fotelu, a spoglądając na mnie przez ramię, powtarzał głosem prawdziwie szczęśliwego człowieka:

– „Pyszne” życie, Dosiu.

Z przeciwnego balkonu lornetowała nas piękna heroina w białym koronkowym szlafrocisku, z obnażonymi rękoma. Z daleka wyglądała prześlicznie: wysoka, z małą główką, miała królewską postawę i wszelkie pozory młodości. Karol niby nie patrzył na nią, mimo tego przestał nosić pantofle, zamiast czarnych nakładał złote binokle, rozpięty żakiet zapinał na jeden guzik, coraz częściej oparty o balustradę wyglądał z balkonu na prawo, na lewo, przelotnie spoglądał na ruinę,

jakby ją pierwszy raz ujrzał. Ona lornetowała coraz gorliwiej; ja śmiałam się w duchu.

– Mamy ładną sąsiadkę – rzekłam, wskazując wzrokiem romantyczną postać w białych koronkach.

Wzruszył ramionami obojętnie, przedtem jednak przesiedział całą godzinę na balkonie, zwrócony do niej profilem, z ręką na balustradzie, kiedy niekiedy spoglądał mi nią i odwracał głowę powoli.

– Tu o piękność nietrudno! – odrzekł – chociaż ta zdaje się być wyjątkowo piękną; zresztą nie przyglądałem się jej wcale.

Przez całą godzinę tedy studiował usychającą daturę. Żona musi wierzyć słowom męża albo też raz na zawsze wyrzec się spokoju.

Tegoż dnia spostrzegliśmy ją w bramie. Karol stanął jak wryty.

– Ależ to szkapa! – szepnął.

– To nasza piękna sąsiadka!

Splunął; poszliśmy dalej. Po chwili obejrzał się raz jeszcze na bramę; wzruszył ramionami.

Odtąd wychodził na balkon znowu w pantoflach, w rozpiętym zakiecie i do przeciwległej ściany odwracał się plecami: tym sposobem zapewne chciał okazać pogardę kobiecie, która nie umie uszanować swego podeszłego wieku. Lornetowała jego plecy, w końcu przestała wychodzić na balkon.

Miał dziwne szczęście u kobiet: oglądały się za nim, przystawały koło niego, gdy oglądał wystawę, wpatrywały się w jego profil; a gdy spojrzał na nie, uśmiechały się nieznacznie albo, odwracając głowę, udawały zmieszanie. Na tę niemą adorację spoglądał jak niegdyś Kalchas na kwiaty składane w ofierze: było tego za dużo... O kobietach odzywał się z największą uszczypliwością; musiałam nieraz

przypominać, że ma aż drugą żonę. Wówczas zaliczał mnie do białych kruków, z których podejrzewałam, że ułożył już sobie sporą biblioteczkę; nie przyznawał się do tego i miał słuszość: przeszłość była jego wyłączną własnością.

Pierwszy list gończy otrzymaliśmy w Szwajcarii, w wiejskim domku, gdzie oprócz miliardów komarów mieliśmy wspaniałe jezioro, muzykę fal, stłumioną nieco, lecz niezmiernie wymowną, mieliśmy swobodę ptaków, bujających między ziemią i niebem, których jednak ani ziemia, ani niebo nie obchodzi wcale. Orzeźwieliśmy, sprościliśmy do pewnego stopnia. Ja, zamiast misternych puklów, splatałam włosy w warkocze, chodziłam w podróżnej sukni; Karol osowiał na razie. Spoglądał na wspaniałą naturę, na skromniuchny domek; nie wiedział, czy się ma śmiać z moich prostaczych upodobań, czy ulec czarom przyrody, które nawet do mieszczańskiej duszy przemawiać umieją. Milczał, słuchał moich zachwyty; podejrzewałam jednak, że je niezupełnie rozumiał. Wobec gór, jeziora, sosnowego lasu, zmałał jakoś, stracił swobodę salonowca, a nie odzyskał siły i zręczności człowieka. Nie lubił nawet oddalać się od domu – bał się może wron, dzikich gołębi albo dużych ryb w jeziorze. Przechwalał mnie „dziką kozą” i, ile mógł, nadrabiał rezonem, udając, że i on nie tylko chodzić, ale i biegać potrafi. Na góry tylko wdrapywać się nie miał odwagi; patrząc na szczyty, przymykał oczy jak nerwowa kobieta. Brałam go wówczas pod ramię – on mnie prowadził, ale ja nim kierowałam. Za to cały dzień chodził w pantoflach, bez krawatki, bez binokli. Na parę kilometrów dokoła, oprócz nas, była tylko gruba Szwajcarka w szafirowej, suto marszczonej spódnicy – jej mąż, rumiany idiota z ogromną głową na krótkiej szyi, ślepa dziewczynka, przysłuchująca się po całych dniach cichym szmerem jeziora i cztery krowy.

Żyliśmy prawie pocałunkami. Przy tym dawano trochę mleka, rybę w różnej formie i co dzień talerz winogron. Jagody chodziliśmy zwykle płukać do jeziora i topiliśmy najokrutniej! W zakątku tym zapewne od stworzenia świata nie było tak roztrzpiotanej pary. Gruba fermerka spoglądała na nas jak spracowany wół spogląda na parę motylów; w jej sumieniu zrodziło się w końcu jakieś podejrzenie... wskutek którego zaczęła nam dawać coraz mniejsze porcje śmietany i mniej świeże ryby; odwoływała swą ślepą córeczkę, ile razy ta znalazła się przy nas nad brzegiem jeziora. Przez wzgląd na śmietanę, radziłam Karolowi, żeby pokazał gospodyni naszą metrykę ślubną; jego to podejrzenie bawiło – drażnił kobietę, czasami nawet zbyt gorliwie przejmował się swoją rolą. Ożywał się wówczas, miał wyborny humor, miał takie rumieńce i blask w oczach jak ja, gdy po długich przechadzkach wracałam głodna, zarumieniona od wiatru i słońca. On długich przechadzek nie lubił. W najczystszych kątku świata mieszczuch nie może pozbyć się swej zdenerwowanej natury; w raju nawet otrzymywałby listy, gdyby istniała poczta. Otóż i ten list spadł na nas jak na rozmarzonego turystę spada czasem odłam lawiny.

Siedzieliśmy sobie na wzgórzu w sosnowym lesie; słońce tylko co przygrzewać zaczęło; w złotawej przestrzeni rysowały się gór wierzchołki i szklila się gładka powierzchnia jeziora: pod niebem jakiś ptak czarny malał stopniowo, znikał w niebieskiej głębi; wkoło nas była wonna cisza, taka, jaka była wówczas chyba, kiedy Bóg przygotowywał świat na przyjęcie człowieka, jeszcze rąk swoich gliną nie zbrudził.

Karol zamknął Heinego, ja przestałam gatunkować zioła, siedzieliśmy cichutko – tylko gdy od strony gór głuchy łoskot rozległ się w powietrzu, echo drgnęło w lesie – uśmiechaliśmy się do siebie, tłumiąc oddech.

Z zarośli, skąd zwykle wychodziły krowy fermerki, wracające do domu, ukazał się człowiek w białej czapce, z torbą skórzaną przez plecy, z sękatym kijem w ręku. Od razu zepsuł cały krajobraz; pomimo to zapłaciłam mu całego franka za ten list dziwny.

Karol sięgnął po list skwapliwie, rozerwał kopertę i w mgnieniu oka stał się dawniejszym Karolem: brwi ściągnął, usta wykrzywił szyderczo, policzki się wydłużyły. Czytał, odczytywał każdy wiersz kilkakrotnie, to znowu całą stronicę przebiegł jednym rzutem oka. Śledziłam ruch oczu, wyraz twarzy, a jednocześnie... no, jestem przecież kobietą – usiłowałam przeczytać, co się uda. Monogram, datę i Warszawę dostrzegłam od razu: lecz pismo było zbyt drobne – o parę kroków czytać niepodobna. Karol przejrzał list powtórnie, od pierwszej do ostatniej stronicy i wpił się wzrokiem w jakiś wyraz...

– Co to być może? – spytał, pochylając się ku mnie z listem w ręku, paznokciem podkreślił hieroglif.

– „Westchnienie” – odrzekłam, natężywszy całą umiejętność czytania.

– Tylko! – szepnął przez zęby, wzruszył ramionami, obejrzał raz jeszcze pismo.

– List od pani Izy – rzekł. – Jest to ciotka mojej Stasi, opiekuje się maleństwem tymczasem; sądziłem, że w takim długim liście chociaż o zdrowiu dziecka napisze... Głupia baba! – mruknął nachmurzony; rozglądał się po lesie, list rzucił obok mnie na trawę.

Wzięłam go niby od niechcienia, kręciłam w pakach, ręce drżały, udawałam zupełną obojętność. Gdy Karol wyciągnął się na trawie i zapalił cygaro, rzuciłam okiem na pismo. Połknęłabym ten popielaty arkusik, żeby jak najprędzej dowiedzieć się treści: lecz litery były drobne, powykręcane, jak w nerwowych kurczach.

„Nie miałam zamiaru pisać do ciebie... Chciałam wytrwać w postanowieniu... Chciałam zapomnieć!!! Pragnęłam zwrócić tobie swobodę i nawet cieniem wspomnienia nie chciałam zatruwać i tak już dość ciężkich dni twojej nowej niewoli! Jeżeli słowa te wzbudzą chociaż iskry współczucia w twym spopielonym sercu, będzie to jedyna gwiazda mego konającego życia! List twój zmusił mnie do pisania; wyczytałam w nim tyle bólu, tęsknoty, tyle tłumionego uczucia. Musiałeś go pisać w chwili bezsilnej rozpacz, w chwili gdy najsilniejsza dusza słabnie i w łzy się rozpląwa! Czemuż nie mogłam być wówczas przy tobie! Czemuż na skrzydłach myśli nie mogłam przebyć dzielącej nas przestrzeni! Miłością siostry, niewolnicy, kochanki, zażegnałabym widmo trosk wszelkich, wywołałabym na twe usta uśmiech rezygnacji i pierzchłabym, jak mgła przed wschodzącym słońcem! Wybacz, ja bluźnię! Potęgę taką może mieć tylko istota kochana... Ja dawno przestałam należeć do istot, obdarzonych tym niebiańskim szczęściem! Dla ciebie byłabym chyba tylko marą dawnych wspomnień, szerzącą wkoło siebie grobowy chłód i obojętność! Wprawdzie i na grobach czasami gruchają gołębie, lecz raz pogrzebana miłość nie zmartwychwstaje! Może to i dobrze! Kto wie, jak by wyglądało widmo naszych najdroższych rozkoszy i nadziei?

Co z sobą pocznę – sama jeszcze nie wiem. Przeżywam konanie, czy może letarg tylko? W każdym razie, czy zmartwychwstanę, czy się obudzę, czuję, że będę tylko upiorem; żadne uczucie zelektryzować mnie nie potrafi. W pamięci pozostaną jedynie chwile najgłębszej miłości dla ciebie! Wówczas tylko żyłam! Nie poznałbyś mnie teraz! Skarłowaciałam, osłabłam. Ścięty kwiat dłużej zachowuje świeżość, niż opuszczona kobieta pozory dawnego życia zachować może! Żyję z dnia na dzień, bez promyka nadziei, bez kropli osłody... Gdy się przebudzę z ciężkiego letargu,

drętwieję od chłodnej rzeczywistości, a umrzeć nie mam odwagi!

Nigdy jeszcze bezsilność nie wydawała mi się tak okrutną, jak teraz, gdy wszystko wkoło mnie zamarło, gdy z przeżytych uczuć zostały tylko popioły; świat cały zmienił się w pustynię – a ja żyję, żyję i tyję!

Och, jakże ten najdroższy dar życia staje się okrutnym, gdy ciężać zaczyna!

Lecz dość już tego. Boleści wypisać niepodobna! Niemoc wygryza duszę, raz może skończy się to przecie! Teraz słówko o Stasi. Oddaj mi ją! Byłam wówczas szaloną, gdy w błagalnym wybuchu ofiarowywałam tobie za nią... pieniądze! Nie zrozumiałeś mnie zresztą: jest to córka mojej siostry – sierota. Chciałam zabezpieczyć jej przyszłość; chciałam oczyścić z długów twój dom i zachować go dla niej. To takie proste! W rozdrażnieniu wysunęło się słów kilka... nierozważnych... oburzyłeś się. Któż mówi o sprzedaży? Zachowasz prawa ojca, ja dam jej tylko serce matki. Teraz już o pieniądzach nie wspomnę: oddaj mi ją tak, jak konającemu przyjacielowi dałbyś życie, gdyby to było w twojej mocy! Czyś zdolny pojąć, czym byłaby w życiu moim istota, którą mogłabym kochać, dla której mogłabym odżyć raz jeszcze? Oddaj mi ją! Tobie jeszcze przyszłość wszystko dać może: dla mnie jest to jedyne źródło, z którego potrafię chociaż trochę sił zaczerpnąć... itd.”.

Karol przypomniał coś sobie, sięgnął po list, spojrzął na początek.

– Co ona tam u licha w moim liście znalazła! – mruknął, przebiegając wzrokiem stronice. – Prosiłem o kupienie ciepłej salopki dla Stasi; do kupcowej nie potrafiłbym pisać inaczej!...

Wzruszy ramionami, listu z rąk nie wypuszczał, kręcił go z wolna w pakach, zdawał się nasycać gładkością papieru;

mrużył przy tym oczy, jakby te wszystkie gwałtownie gorące słowa teraz dopiero zaczynały odzywać się w duszy.

– W oryginale jest znacznie mędrszą... Jestem przekonany, że nie odczytała tego listu po napisaniu... To ona – rzekł, pokazując w medalionie fotogram brunetki z wąską twarzą, z zapadłymi oczyma.

Udawałam, że się wpatruję w jej twarz niemłoda, niezbyt ładną i szkaradnie zrobioną; tymczasem starałam się odzyskać spokój i obojętność.

– Tylko? – wyobrażałam ją sobie zupełnie inaczej.

Spojrzał mi w oczy żartobliwie.

– Nic a nic nie jesteś zazdrosną?

Zarumieniłam się, może nawet łzy miałam w oczach.

Wyjął z wolna fotogram, rozdarł i rzucił przez ramię, jak Deukalion rzucał niegdyś kamienie, z których potem powstawali żywi ludzie.

– Czytajmy lepiej Heinego – rzekł, całując stokrotnie moje ręce.

Ja wciąż na list patrzałam; leżał na trawie między nami, zmięty trochę, poruszał się od wiatru jak żywy. Karol zgniótł go w rękę i rzucił pod sosnę.

– Już mi to miłosne zgrzytanie uszy prześwidrowało! – mruknął przez zaciśnięte zęby. – Nie bierz tego do serca! Ona w przystępie uczuciowości gotowa gwałtowniejszy list napisać, a tylko przy adresowaniu zawaha się między dwoma, trzema albo i czterema nazwiskami! Ta kobieta cierpi na wieczny głód wrażeń! Wyszła za starca, który umierając, zapisał jej majątek, ale tylko do dnia powtórnego ślubu. Za co się zemścił w tak okrutny sposób stary lis, trudno zgadnąć! Miał zapewne swoje powody! A jej się zdaje, że jest nieszczęśliwą ofiarą, rzuca się jak pantera, szuka wrażeń, wpija się w każde widmo miłości i jeśli dotąd nie zwariowała, to dlatego tylko, że boi się utracić majątek. I taka kobieta śmie

żądać, żebym jej oddał córkę! Pierwszego dnia przydusiłaby ją w uścisku: nazajutrz zapomniałaby nakarmić! Jeszcze żeby to był dwudziestoletni chłopak... może pamiętałaby o nim dłużej!.. Szalona! Ja jej oddam córkę! Jej!...

Zżymał się, podrzucał ramionami; mówiąc, dobierał najzjadliwszych wyrazów, i te jeszcze wydawały mu się niedostatecznymi – na zakończenie szepnął parę drapieżnych porównań. W istocie był prawie chorobliwie przywiązany do dziecka; wspominał o nim kilka razy na dzień; fotografię córki nosił z sobą, ustawiał na stoliku przy łóżku; z rana, jak tylko się obudził, sięgał po nią, wpatrywał się długo w tłuściutką trzechletnią dziewczynkę z nadąsaną minką, w tiulach i koronkach; całował ją nawet czasami. W Wiedniu już nakupił dla niej zabawek: lalki, piłki, motyle, grające pudelka... upakował wszystko między swymi rzeczami, kiedy niekiedy rozwijał, oglądał i coraz staranniej układał. Zdawało się, że te drobne przedmioty mówią mu o tym, że się zawczasu nasycy jej przyjemnością; okręcając lalkę w watę i w bibułkę, uśmiechał się nieznacznie; próbował, czy piłka dobrze skacze; nakręcał latającego motyla; ładne zabawki jeszcze go nie zadawały, resztę miał dokupić z powrotem.

– Rozkoszne dziecko – powtarzał nieraz – takie to dobre, łaskawe, szczebioce zabawnie! Mądra dziewczynka!

Powtarzał te słowa więcej dla siebie, niż dla mnie; potrzebował słyszeć o córce, rozkoszował się dźwiękiem jej imienia.

– Stasia! Prawda, że to ładne, pieszczotliwe imię? Stasiecz-ka! Będzie z czasem bardzo ładna! Ma śliczne oczka, a rysy dziecinne; ale wyrośnie na śliczną pannę: już dziś to takie szykowne, eleganckie, tak to umie mizdrzyć się, przymilać! Nie będziemy mieli z nią kłopotu, gdy dorośnie!

W myślach snuł może świetną przyszłość. Zawczasu nasycił się jej triumfami, słowem kochał ją, jak umiał.

List Izy przypomniał mu Stasię, przyniósł z sobą woń miasta, wspomnienia różne... rozbudził ukołysaną chwilowo nerwowość.

– Dość tej sielanki – rzekł tegoż wieczora ochryłym, zniecierpliwionym głosem. – Wszystko to piękne, urocze, ale nudne. Zresztą urlop się kończy; lepiej w Wiedniu zatrzymamy się dni parę!

Nazajutrz byliśmy gotowi do drogi.

Na wyjezdnym fermerka widocznie chciała mi coś powiedzieć. Siedziałyśmy obok siebie na ławce przed domkiem, obrosłym dzikim winem; naprzeciw nas, na sznurze między dwoma drzewinami, suszyły się dwie sine bluzy, płócienne spodnie i grube wełniane pończochy; cztery piękne krowy wracały właśnie z pola: z daleka już pachniało od nich świeżym mlekiem, od fermerki zaś szarym mydłem i serami. Patrzyła na mnie z macierzyńską dobrocią i już miała przytoczyć sentencję z Biblii, kiedy ja, tłumiąc uśmiech, zdjęłam z pieca niebieską jedwabną chusteczkę i zarzuciłam jej na szyję. Uśmiechnęła się błogo, jak do anioła, rozdającego widoczną łaskę bożą.

Jestem pewna, że nie wyświęcała po nas mieszkania, bojąc się, aby pospołu z grzechem i dobitych natchnień nie odpędzić!

W drodze Karol prawie wyłącznie mówił o Stasi; może pragnął rozbudzić we mnie macierzyńskie instynkty, a może tylko nie mógł się wstrzymać od wypowiedzenia najbardziej go zajmującej myśli.

W Wiedniu kupiłam dla dziecka białą salopkę, biały kapturek i białe kamasze.

– Widzę, że będziesz idealną mateczką! – zawołał uszczęśliwiony, dziękując jak za największe dobrodziejstwo.

– Hm, może ta zwariowana niańka dziecko przyniesie na dworzec – powtarzał, gdyśmy się zbliżali do Warszawy. – One miewają czasem szalone pomysły!...

Pragnął tego i bał się. Pociąg przychodził wieczorem, dzień był chłodny, dżdżysty...

– Któż wozi dzieci w taką porę! Stasia śpi już zapewne – powtarzałam, chcąc uspokoić wzburzone ojcowskie uczucie.

– Tak, pewnie śpi, za chwilę ją zobaczymy!

Wyskoczył pierwszy z wagonu. Musiałam sama zbierać manatki.

Stojąc w drzwiach, z torbą i pledem w ręku, obejrzałam się na nasz podróżny przybytek. Lampa go słabo oświecała, sinawy obłok dymu wznosił się pod sufitem, na kanapie leżało puste pudełko od cukierków... Zostawiałam tam dużo dobrych wspomnień, ładną część życia...

Karol miał słuszość, nazywając mnie egzaltowaną!

Chcąc pośpieszyć, ciągnął mnie bez litości przez tłum pasażerów po błotnistym, skromnie oświetlonym peronie. W najliczniejszym tłumie, gdzie popychano nas na wszystkie strony, a tłumoki i ludzie przesuwali się z pośpiechem, ujrzałam coś pstrego koło samej twarzy, a jednocześnie ktoś szepnął nosowym głosem:

– Karolu!

Przed nami stał średniego wzrostu mężczyzna w bobrowym paltocie, w cylindrze, z bukietem w ręku.

Karol powitał go uprzejmie, na rekomendację nie było czasu; wcisnęliśmy się z innymi do sali. Dopiero wówczas przedstawił mi jegomościa z bukietem.

– Pan Maks Biernacki, mój kolega!

Najniebezpieczniejszy z Don Żuanów! No, zresztą o tym sama się przekonasz. Piękny nie jest, ale diabelnie miły! Zostań, Maksie, przy mojej żonie, ja pójdę odebrać rzeczy. Nie zaśnijże, z łaski swojej, postaraj się wywrzeć dobre wrażenie!

Odszedł, spojrzawszy na niego przez ramię; śpieszył, pilno mu było, po drodze popychał ludzi bez ceremonii.

Maks stał przede mną zachmurzony; przeprowadzał Karola ponurym wzrokiem. Żartobliwe, lekceważące powitanie wobec kobiety, której chciał zaimponować bukietem, odjęło mu resztę swobody.

Gdy Karol znikł za drzwiami, Maks zwrócił do mnie długą, czerwoną twarz; z uszu sterczały mu kawałki waty; rude włosy miał akuratnie rozdzielone nad czołem i zakręcone w pukielki na skroniach; poprawił na nosie złote binokle i zapytał:

– Czy za granicą również szkaradna pogoda, jak tu w Warszawie?

Mówił z wolna, przez nos, z bardzo poważnym wyrazem twarzy; brwi nawet ściągał, jakby dla dokładniejszego akcentowania ważności słów wypowiedzianych.

Tymczasem siwe oczka, przysłonięte ociężałą powieką, mierzyły mnie badawczo od stóp do głowy. Suknia, kapelusz, kolczyki, torebka, aż do rękawiczek, uległy cenzurze. Jako kobieta nie zajęłam go na razie. Chciał widzieć, jak się ubieram, a potem dopiero, jak wyglądam!

Gdy tak słowa wychodziły mu z ust powoli, ze zbytecznym namysłem, oczka biegały, skakały z przedmiotu na przedmiot, zatrzymały się chwilowo na kolczykach, na torebce, zdobnej złożonym monogramem z koroną. Czekałam, kiedy dotknie się palcami do sukni albo skubnie za rękaw okrywki. Do tego jednak nie doszło.

Po skończonym badaniu spojrzął mi w oczy z jakimś krzywym, jakby smutnym uśmiechem i zaczął opowiadać o Stasi, którą nazywał swoją „narzeczoną”.

Mówiąc, przestępował z nogi na nogę i co chwila poruszając nosem, poprawiał binokle.

Udawał powagę, w istocie zaś musiał być nieśmiałym.

Po kilku frazesach zamilkł, oglądał się, kręcił rude wąsiki to z jednej, to z drugiej strony, spoglądał na mnie z ukosa. Przez cały czas trzymał w ręku torbę i pled Karola, chociaż mógł je na krzesło położyć. Spodnie miał zakręcone wyżej kostek, buty zabłocone – przyniósł tedy bukiet pieszo... pamiętał o nim; a gdy poprawiając kapelusz, upuściłam go na ziemię, podniósł skwapliwie, powąchał.

– Prawie same lewkonie! – rzekł, podając mi bukiet ze znaczącym uśmiechem. – Niech pani usiądzie – dodał, ośmielony na nowo wonią bukietu. – Karolek to straszny nudziarz! Ja go znam! Nieraz zgderzę go po przyjacielsku: przyjaźnimy się z sobą od lat wieki...

I znowu brwi ściągnął, nasrożył się, jak gdyby przyjaciel Karola koniecznie do najeżonej wiewiórki musiał być podobny! Przysiadł obok mnie, rękę położył na poręczy mego krzesła. Poczulałam, że był mocno uperfumowany. Wyglądał bardzo elegancko, z wyjątkiem zabłoconych butów.

– On mnie słucha – mówił dalej nosowym głosem. – Ja też – dodał – nie strofuję go zbyt; niech pani będzie spokojną! Mam słabość do tego chłopca! Poczciwy Karolek! W biurze nazywają nas Kastor i Polluks! Niektórzy utrzymują, żeśmy do siebie podobni...

Uśmiechnęłam się na to bluźnierstwo.

– Z charakteru – dokończył Maks – ja też mam zbyt hojną naturę!

Spojrzał na bukiet przelotnie.

– Cóż robić! – rzekł jeszcze, – Tacy my wszyscy, narodowa wada! Ja zawsze powtarzam, że porządnego człowieka pieniądze się nie trzymają! A pani, co na to?

– Porządny człowiek powinien trzymać pieniądze.

– Słusznie, bardzo słusznie. Niech pani tej wielkiej prawdy Karolka nauczy! Tak, porządny człowiek powinien

trzymać pieniądze! – powtórzył wypogodzony, jakby te słowa podniosły go we własnym mniemaniu.

Na mnie też spojrzał przyjaźniej, poufałej, cmoknął z lekka językiem.

– Najlepszy chłopak w świecie, ale bawi się w wielkiego pana! – mówił coraz bardziej w nos, co widocznie miało oznaczać wielce konfidencjonalne usposobienie – Nieraz mu powtarzam: „Karolku, bój się Boga! Rachuj się, bo zginiesz!” On tylko ręką machnie, albo uda, że nie słyszy. A dzielny chłopak! Gdyby umiał żyć... ho, ho, dotąd zaszedłby już daleko!

– Na jakiej drodze? Jeśli wolno spytać.

– No... w znaczeniu, w stanowisku!

Wymawiając te słowa, Maks mocno brodę do bobrowego kołnierza przycisnął, policzki nadał; miał tak uroczystą minę, że dalszych pytań nie śmiałam zadawać.

– On na prezesa stworzony – dodał z namaszczeniem i przymknął oczy; zamilknął na chwilę po wymówieniu sakramentalnego słowa.

– Może teraz... przy stosunkach...

Podniósł wzrok na mnie; z twarzy usiłował wyczytać, co ja myślę w tak ważnej kwestii? Czy rozumiem znaczenie jego wyrazów? Czy mam jakiegokolwiek własne poglądy?

– Przy stosunkach! – powtórzył, patrząc wciąż w moje oczy.

Jedno „tak” albo coś w tym rodzaju, zadowoliliby go w zupełności, byłby spokojny o los swego przyjaciela, a we mnie widziałby może godną towarzyszkę przyszłego prezesa.

Nie śpieszyłam z odpowiedzią; rozglądając się po sali, zapinałam z wolna rękawiczkę.

– Masz pan słuszność: Karol straszny nudziarz – dotąd moglibyśmy być w domu – odrzekłam. – Pójdziemy go poszukać.

Ujęłam go pod ramię; spojrzał na mnie mile zdziwiony.

– Może... może ja sam pójdę? Po co pani ma się utrudzać? – bełkotał przez nos.

Przycisnął moją rękę ramieniem, z wielkiej uprzejmości zapewne. Staliśmy na środku pokoju. Maks nie wiedział, czy wypada mu iść ze mną, czy samemu...

– Czemu mi nie kazał, nie prosił? Czemu nie powiedział?... Ja bym zaraz... w tej chwili... tu mnie wszyscy znają.

– Chodźmy, we troje łatwiej poradzimy.

Karol szedł już naprzeciw nas – z daleka złożył dłonie jak do modlitwy.

– Jeszcze jedna ofiara! Człowieku, skąd ty masz tyle szczęścia? Ezop chyba pozazdrościłby tobie... No, a teraz nakryj łysinę i bywaj zdrów! Pamięci twojej polecać się nie potrzebuję; sądzę, że i sam o ranie doskonale pamiętasz.

Podał mu rękę. Po twarzy Maksa przemknął cień przykrej niechęci – spochmurniał, spuścił ociężałe powieki.

– Wolałbym, żebyś ty o mnie pamiętał! – mruknął, odwracając się do niego plecami.

Karol nie dosłuchał; pociągnął mnie przez salę.

Przez całą drogę mówił o Stasi; w przedpokoju, za ledwie zdjął paltot, otworzył mi drzwi do salonu i pobiegł w głąb mieszkania.

Miałam dość czasu, aby obejrzeć swoje przyszłe królestwo.

Oczekiwano nas: wszystkie pokoje oświetlone, ciepła około dwudziestu stopni, nakadzono trociczkami. W salonie żółte meble, żółte portiery, lustro w czarnych ramach; krzesel trochę za mało – za to świeżo uprane firanki, za długie, rozścielały się w kształcie pawiego ogona po obu stronach każdego okna. W jednym kącie stał otwarty fortepian, szereg klawiszy bielił się z daleka; na ścianach parę obrazów w

szerokich złożonych ramach, – „akuratny” salon dla gości, w którym na co dzień bywa zwykle zimno jak w kościele, para z nosa bucha, zgniecione pokrowce pokrywają meble, a który w uroczystych chwilach jaśnieje całym blaskiem mieszczańskiego gustu i fantazji, objawiających się w czerwonych i niebieskich okładkach książek na stole wkoło lampy, w rozpostartych na podłodze firankach, w złożonych ramach zresztą, których połysk wynagradza z daleka wartość obrazów, widzianych z bliska.

W niebieskim buduarze niebieska lampa rzuca tak mdłe światło, że na razie czuje się tylko miękki dywan pod nogami oraz zapach trociczek, zmieszany z wonią fryzjerskiego sklepu. Małutkie niebieskie mebelki jak dla dużych lalek. Na przeciw miniaturowej kanapki jedyny w całym pokoju obraz (w złożonych ramach), wystawiający bardzo śniadego raba czy Turka w pąsowym fezie i wygorsowaną kobietę z szafirową kokardą na czarnych włosach. Arab wpił się ustami w policzek pięknej pani; ona odwraca się od niego z grymasem. Cała tragedia w tym obrazie! Duszno tu, ciasno i zbyt melancholijnie! W godzinę duchów w wycackanej klateczce unoszą się szmery westchnień ku czemuś nieokreślonemu, rojenia miłosne, tajemnicze żądze, niewypowiedziane, niesformułowane nawet pragnienia, nudy, obok romantycznych wspomnień z powieści. Mnie samej, pomimo siły i zdrowia, po kilku chwilach kości zaczynały mięknąć w tym eleganckim pudełku.

Znad kanapki, z orzechowych rzeźbionych ramek, spoglądała na mnie ładniutka Lili, moja poprzedniczka szczupła blondynka z uśmiechem podlotka, z marzącymi oczyma. Wszystko tu jeszcze nosiło piętno jej delikatnej rączki; całe gniazdko stworzone było dla wypieszczonej, trochę romantycznej kobietki. Patrzyłyśmy na siebie: ja znałam ją z opowiadania, ona widziała mnie pierwszy raz w

życiu. Zdawała się kurczyć i cofać w głąb fotogramu przed kobietą, która tak bez ceremonii, wszechwładnie przyszła zająć jej miejsce. Była cichą, porządną, pracowitą; Karol miał kilka par pantofli, wyhaftowanych jej ręką i zawsze z wielkim uznaniem odzywał się o niezrównanej słodyczy jej charakteru! Nekrolog nic skłamał, pisząc o niej: „usnęła w Bogu” – przyszło jej to z łatwością... drzemała przez całe życie. Biedna Lili! Patrząc na nią, chciało się pogłaskać ją po ślicznej twarzyczce... i obiecać ładną lalkę na gwiazdkę... To była jego żona!

– Bądź spokojna! – pomyślałam. – Przybytek twój pozostanie nienaruszony; ja tu nawet zaglądać nie będę. Zbyt ciasno na parołokciowym kwadraciku, między całującym Arabem, lustrem, kanapką i całym kramem drobiazgów na stoliczkach, konsolkach, po wszystkich zakątkach miniaturowej świątyni.

Jadalnia za to wyglądała po ludzku. Duży pokój, oświetlony dużą lampą, a na ścianach ani jednego obrazu w złotych ramach. Tu Karol wyszedł ze Stasią na moje spotkanie. Maleństwo bose, w koszulce, przebudzone ze snu, objęło szyję ojca obiema rączkami, przytuliło główkę do jego twarzy; tylko jednym oczkiem z ukosa spoglądało na mnie.

– Będiesz ją kochała? – spytał Karol, dziwnie jakoś wzruszony.

Na widok dziecka głos mu zmiękł, twarz przybrała łagodny, pieścotliwy wyraz. Pocałował ją w oczka, w czółko, przytulił główkę do swej twarzy, patrzył na mnie, to na nią, poruszając z lekka nozdrzami.

– Co, prawda, że ładna?

Ujął ją pod brodę i pokazał mi jej twarzyczkę w całej okazałości.

Miała jasnopopielate włoski, czarne oczy, bieluchną, zarumienioną od snu buzię, uśmiechała się, ściskając coraz mocniej ojca za szyję.

Musiałam przyznać, że ładna, milutka, rozkoszna. Za każdą pochwałę, za każdy całus w tłuściutkie rączki i nóżki, Karol dziękował mi wzrokiem, skinieniem głowy, wyrazem najwyższego zadowolenia. Za taką nagrodę gotowa byłabym wychwalać i wycalować smoka z siedmioma głowami, nie zaś w istocie śliczne stworzonko, które potrzebowało ode mnie tylko serca matki i serdecznej pieczyoty.

W kwadrans potem Stasia tuliła się już do mnie, a w pół godziny nazwała „macochą” i kopnęła w twarz nóżką, gdy przemocą starałam się ułożyć ją w łóżeczku. Miała tedy i wdzięk, i charakter; śliczny materiał dostał się w moje macosze ręce!

W pierwszych dniach Stasia szczebiotała, Karol wracał z biura jak najwcześniej, rwał się do domu – czar rodzinnego życia odurzał nas wszystkich. Tylko tych sześć paradnie umeblowanych pokoiów, troje sług, schody wysłane dywanem... trwożyły mnie nieco, szczególnie w rannych godzinach, gdy Stasia wyszła na spacer, Karol do biura, a w przedpokoju odzywał się nieśmiało dzwonek, oznajmujący... wierzyciela.

Były to rachunki piekarza, krawca, kupca – niewielkie, kilku albo kilkunastorublowe. Załatwiałam je według możliwości, lecz zarazem miarkowałam, że tu żyje się na kredyt... najszkaradniejsza forma istnienia, do której miałam wstręt wrodzony!

Co dzień chciałam pomówić o tym z Karolem – nie było czasu. Godziny od obiadu do nocy przelatywały jak jedna chwila, ile razy próbowałam rozmawiać poważniej, zrywał się z kanapy, przebiegał parę razy pokój i nie wracał już do mnie. Porywał Stasię, podrzucał ją pod sufit, ściskał, całował, siadał

do fortepianu – i trzymając ją na kolanach, wygrywał śliczne walce, pogwizdywał albo przechylał w takt głowę z ramienia na ramię.

Dziewczynka uciekała z kolan, kręciła się po pokoju jak fryga; patrzył na nią przez ramię, śmiał się, z walca przechodził do polki, grał coraz zawzięciej, bawili się oboje doskonale – a ja, patrząc na nich, zapomniałam o całym świecie!

Raz tylko, gdyśmy najętym powozem pojechali na spacer w aleje – on w bobrowym paltocie, w błyszczącym cylindrze, rozparty elegancko – ja w aksamitnej salopie, obszytej szynszylami, w popielatym kapeluszu z pysznym piórem, okryci do kolan żółtawym pledem wiedeńskim – powiedziałam mu otwarcie, że spacer taki jest śmiesznym zbytkiem.

– Moja droga, jesteś panią domu i całego inwentarza, do którego ja zapisuje się najpokorniej – odrzekł, gryząc dolną wargę. – Pozostaw mi rolę kasjera bez kontroli, a będę ci nieskończenie wdzięczny za dowód zaufania.

Mówił niby żartem, wpatrzony przed siebie; potem odwrócił głowę i zaczął niecierpliwie bębnić pakami po poduszce powozu. Był zły; na razie należało zawiesić rozmowę.

Sezon zimowy zaczął się na dobre. Co chwila spotykałam kogoś ze znajomych. Przez okna karet wyglądały znajome panie; panowie mijali nas w otwartych powozach. Dopiero gdy Karol uchylał kapelusza, oglądali się za nami. Przesłano mi parę uśmiechów i kilka spóźnionych ukłonów. Karol wyprostował się, poprawił binokle i do każdego powozu zaglądał ciekawie. Kilka razy obrzucił wzrokiem nasze konie, nasz powóz najęty, jakby je porównywał w myślach ze spotykanymi ekwipażami. Na mnie też spojrzął przelotnie i uśmiechnął się.

– Pysznie wyglądasz! – rzekł. – Jesteś najładniejszą z kobiet!

Ścisnął moją rękę pod pledem. Obejrzała się za nami jakaś blada pani w czarnym futrze, w dużym czarnym kapeluszu.

– Iza! – szepnął Karol. – Dziwna rzecz, że dotąd nie odwiedziła... Stasi... Może czeka na naszą wizytę!

Zaśmiał się, gładził wąsy niedbale. Raptem obejrzał się za jej powozem. Myślał może, iż wraca, żeby raz jeszcze spojrzeć w twarz niewdzięcznika... Pojechała dalej.

– Głupia baba! – mruknął, odrzucając się na poduszki powozu.

Wrócił do domu jakiś podniecony. Kiedy przygotowywałam herbatę, biegał z kąta w kąt po salonie, zatrzymywał się we drzwiach, patrzył na mnie, na Stasię i biegał znowu; w końcu zasiadł z nami przy stole.

– Pewno zaczniesz przysyłać podarki dla Stasi w roli serdecznej cici; zaczniesz cię zasypywać liścikami. Znane sztuczki! Potrafię się od tego uwolnić! – rzekł, całując moją rękę.

Aha, więc to o niej myślał! Kamienie Deukaliona zaczynały się ożywiać!

Upewniłam go, że nie zawiodę dobrego przekonania, że Stasię i siebie ochronię; nie podjęłabym się tylko trudnej roli ochraniającego samego... ale na szczęście on tego nie potrzebuje.

– Zbyt słaba pokusa, to Anioł Stróż oszczędzić mnie potrafi. W miłości bałem się zawsze strzał strzelistych; kartacze nigdy mnie nie przerażały.

Wszelkie zastrzeżenia były zbyteczne. Pani Iza nie dawała znaku życia. Raz jeden, wychodząc z domu w południe, spotkałam ją w naszej bramie – poznałam po czarnym futrze, po dużym szarym kapeluszu. Za czarną

woalką wyglądała dość jeszcze młodo; miała piękne oczy i chorobliwie białą cerę. Dzień był dżdżysty, ponury... w takie dni bywa czasami strasznie smutno!... Chciałam jej zapytać: kogo szuka? Nie mogłam! A jeżeli naprawdę jest choć w setnej części tak nieszczęśliwą, jak pisała.., i tego byłoby dosyć, żeby zwariować. Tego dnia, podczas obiadu, lokaj w granatowej liberii przyniósł pudełko cukierków z napisem: „Od cioci dla Stasi”. Karol sam przyjął i sam otworzył pudełko.

– A co, nie mówiłem! – zawołał, podnosząc pierwszy cukierek do ust. – To zaledwie początek; będzie tego więcej!

I znowu się przerachował – skończyło się na cukierkach. Parę razy ten sam lokaj wstępował do kuchni zapytać o zdrowie „panienki”, ale jak tylko wyjrzałam przez drzwi, kłaniał się i wychodził.

Karol nie wierzył w tak prozaiczne rozwiązanie kwestii; wciąż oczekiwał wybuchu. On tak wybornie znał kobiety! Żadna nie zrywa od razu...

– Słyszałem niegdyś bajkę o człowieku, który za karę był skazany na utratę własnego cienia... Bajka nie miała dla mnie sensu, dopóki nie poznałem kobiet. Dla nich cieniem jest każdy mniej więcej zakochany mężczyzna. Brak cienia równa się moralnej śmierci! Ratują się tedy, jak mogą! Rad jestem przynajmniej, że się odczepiła od dziecka. Będzie szukała teraz nowej zabawki! – powtarzał szyderczo Karol.

W końcu przestał o niej wspominać. Został człowiekiem bez cienia i pogodził się ze swoim losem.

– Trzeba rozpocząć towarzyską pańszczyznę – rzekł do mnie w parę tygodni po powrocie. – Wszyscy się już zjechali do miasta. Wczoraj spotkałem marszałkowską z córkami, hrabiego Leona z żoną i Wiktorem minąłem się na trotuarze. Wiedzą tedy, żeśmy wrócili.

Niepodobna dłużej zostawać w ukryciu. Mogą się obrazić!

Patrzyłam mu w oczy zdumiona; a więc zamierzał podtrzymywać „tamte” stosunki?...

– Oni zapomnieli, że żyjemy na świecie; i my też możemy o nich zapomnieć – odrzekłam. – Po co tu wszystko? Jak się znudzisz ostatecznie, poszukamy odpowiedniejszego otoczenia.

Karol zeszywniał, jak zwykle, gdy stawiałam chociaż najlżejszy opór jego zasadom. Oglądał w milczeniu paznokcie.

– Żyliśmy oboje w tym świecie. Nie mam zamiaru zmieniać towarzystwa – odrzekł, nie patrząc na mnie.

Więc on te zdawkowe zaprosiny na rauty i bale brał za dobrą monetę towarzyskich stosunków!

Chciałam mu parsknąć śmiechem w żywe oczy. Wszak ciotka marszałkowa zapraszała każdej niedzieli swego siostrzeńca na czarną kawę, a po jego wyjściu zwykle kazała kadzić octem, utrzymując, że pomimo świątobliwości, zbyt przesiąkł tabaką. Na balach i rautach bywali domowi lekarze, domowi adwokaci, aż do rządcy majątku, jeżeli pod tę porę był w mieście i przywiózł pomyślnie zawarte kontrakty i dużo pieniędzy; bywały nawet takie „potrzebne” figury, których pilnowano, żeby... nie zamieniały futer i kaloszy.

Wystawiłam mu to najdelikatniej, a jednak się obraził.

– Czy potrzebujesz protekcji? – spytałam nieśmiało.

W oczach moich mógł wyczytać, że poszłabym za nim na Golgotę, ale tam, do tego świata, wracać nie chciałam.

Potrząsnął głową; rozbroiłam go trochę. Przestał oglądać paznokcie, ścisnął serdecznie moją rękę.

– Nie, nie chcę wyzyskiwać swego położenia kosztem zasłużonych albo zdolniejszych – odrzekł jakoś machinalnie, jakby sam nie wiedział, co mówi.

Spojrzał mi w oczy – może się chciał przekonać, czy frazes wypowiedziany był akuratnie.

Pierwszy szczebiot mego rodzzonego dziecka nie sprawiłby mi większej przyjemności. Miły Boże! Jak ja mu za to dziękowałam! Zaczynałam się trochę obawiać o swoją miłość; teraz obawa pierzchła. Ten człowiek w istocie posiadał charakter godny szacunku.

– Więc dlaczego? – zapytałam, gdy się rozbroił ostatecznie i gotów był słuchać mnie choć do końca świata.

Wzruszył ramionami – nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Są w nas pewne estetyczne, subtelne uczucia – zaczął.

Zaśmiałam się z całej duszy. Zbaczał na bezdroża sofizmatów, a ja pragnęłam go utrzymać na jednej prostej drodze rozsądku i uczucia.

– A jeżeli to jest potrzebą mego życia, mojej natury? Czy i wówczas jeszcze będziesz się tylko śmiała? – spytał bardzo serdecznie, ale i bardzo stanowczo zarazem.

Ciekawam, co by na to powiedział najmędrszy filozof, ale zakochany?

Nie chciał zrozumieć, że pod wesołą obojętnością kryłam w duszy może niejedną ranę, dotąd niezabliźnioną, że nie mogłam bez upokorzenia wracać do ludzi, którzy przez tyle lat upokarzali we mnie ludzką godność, traktując tylko jako ubogą kuzynkę.

W świecie tym znoszono mnie zaledwie przez wzgląd na wujostwo, u których mieszkałam; przez wzgląd na świetne nazwisko litowano się nad dolą panny bez posagu, dla której wszelkie drogi do świetnego bytu były zamknięte raz na zawsze. Stella chciała zadać kłam największej prawdzie – i jednej zimy postanowiła wydać mię za męża. Rozgłoszono, że jestem jedyną sukcesorką wuja Adama. Stałam się modną. Mój ty Boże, ilu to ja głupców wówczas poznałam!

Od tej pory datuje się mój nieprzewyciężony wstręt do pozerów.

Przy odrobinie dobrej woli mogłabym zrobić świetną partię. Stella była zachwycona i po każdym balu zmieniała plan mojej przyszłości. Utrzymywała, że z wielbicieli mogę sobie utworzyć szpaler przez najdłuższy kościół, od drzwi aż do ołtarza, i wziąć sobie pierwszego lepszego, bo każdy pójdzie podpisać intercyzę. Bawiłyśmy się obie wybornie.

W końcu pogłoska o posagu upadła – w samą porę zresztą. Zima się skończyła, a my zaczęłyśmy się nudzić po trosze przebieraniem w ulegawkach. Czar znikł – wróciłam do roli kopciuszka; ze świetnej metamorfozy, zamiast szklanego pantofelka, pozostało mi doświadczenie. Spadłam z horyzontu, jako fałszywa gwiazda, i od razu znalazłam się w roli ubogiej kuzynki w domu na pozór bardzo zamożnym, gdzie jednak wszelkie końce wiązano bardzo misternie.

Wkrótce doszłam do perfekcji w tym kierunku. Poczciwa, święta moja wujenka miała we mnie mistrzowską wyręczycielkę. Ja jedna wiem, ile razy smażono tam dla ważnych gości wyborne pieczone na stęchłej fryturze, ile kwaśnego wina wydano na bardzo paradne obiady, ile zresztą dziur i łat znajduje się w jej uroczyściej sukni z brukselskich koronek.

Za chleb i opiekę wypłacałam się pracą; łask wszelkich bałam się i unikałam jak ognia. Pomimo tego, bliżsi, dalsi, bojąc się zawczasu, że kiedyś „na kark ich spadnę”, nie szczędzili uwag, przestroóg, złośliwych przymówek, trzymali się ode mnie z daleka, nie zapraszali nigdy, żebym nie zasmakowała zbyt w ich towarzystwie. Bywałam tylko niemym świadkiem zabaw, paradnych obiadów; nie miałam ani towarzysza, ani przyjaciółek, tylko dalekie, etykietalne znajome, z którymi zbliżyć się nie chciałam i nie mogłam.

Pozostawała wprawdzie jeszcze ścieżka cichej pokory, usłużności, pochlebstwa, słodyczy i wiecznie uśmiechniętego milczenia. Cóż, kiedy na twardym karku skrzydła anielskie wyrósć nie chciały! Nie lubiono mnie ogólnie; w ostatnich czasach najpobłażliwsi nawet nazywali mnie zgryźliwą, starzejącą się panną.

Mój ślub uwalniał wszystkich od bardzo niemiłej rezydentki w przyszłości. Pozbyli się nareszcie, zapomnieli... Zniknęłam dla nich w szarym, bezbarwnym tłumie. Pozbywając się nazwiska, zerwałam ostatni węzeł. Teraz znowu miałam wracać, jako gość wcale niepożądany, prowadząc za sobą „jakiegoś tam męża”, o którym dotąd nikt nie słyszał i słyszeć nie chciał.

Rozumiałam całą śmieszność tego kroku, opierać się jednak nie mogłam. Między pierwszą a drugą zajechała najęta kareta, zaprzężona parą siwych koni: woźnica i lokaj w czarnych niedźwiedziach, w cylindrach z żółtymi kokardami wyglądali jak nasi właścicieli; lokaj nawet, wstąpiwszy do przedpokoju, ściągnął fular z wieszadła – zupełnie jak u siebie w domu.

Jechaliśmy milczący; Karol patrzył w jedne szybę, ja w drugą; byłam pewna, że nie wszędzie nas przyjmą. U wujostwa byliśmy w kilka dni po powrocie – teraz należało zrobić kilka głównych wizyt, potem stopniowo dalsze.

Karol wyglądał uroczyście: z lekkim marsem na czole, z podniesioną głową, miał minę co najmniej prezesa. Pan Maks ujrzawszy go, nie ośmieliłby się nazwać go swoim „poczciwym Karolkiem”. Najęty lokaj wbiegał i zbiegał ze schodów z kartami wizytowymi, przytrzymywał drzwiczki karety, gdyśmy wsiadali i wysiadali, czekał na nas w przedpokoju.

W salonie tymczasem wybiegała na moje spotkanie elegancka gosposia z wyciągniętymi do uścisku rękoma,

sadzała obok siebie na kanapce, szczebiotała przez kilka minut o pogodzie, o zdrowiu, o rozpoczynających się zabawach, zachwycała się moim wyglądem, słowem była mną zajęta, ale tylko mną od stóp do głowy. Karol siedział obok mnie na krześle sztywny, z zaciśniętymi ustami. Rzucano na niego przelotne wejrzenia, uśmiechano się uprzejmie, gdy wtrącił słówko do rozmowy i podawano końce paluszków na pożegnanie. Ani jednego z panów nie znaleźliśmy w domu; zresztą nikt ani myślał usprawiedliwiać przed nami ich nieobecności.

Po trzech wizytach zaproponowałam powrót do domu.

– Dlaczego? – syknął przez zaciśnięte zęby i spojrzał na mnie surowo.

On nigdy się nie cofał z połowy drogi. Pojechaliśmy tedy dalej – młode i stare, kuzynki i ciotki przyjmowały mnie z równie radosną uprzejmością. Jedna tylko Stella powiedziała, że głupio zrobiłam, wychodząc za męża, że się spodziewała po mnie czegoś oryginalniejszego, że teraz straciłam w jej oczach całą wartość. Ona też jedna rozmawiała z Karolem i podała mu papierosa z własnej papierośnicy.

– U mnie palą w salonie – rzekła. – Na większą oryginalność zdobyć się dotąd nie mogłam. Pomimo tego, gadają o mnie niestworzone rzeczy. W naszym świecie nawet głupstw robić nie warto! Plotki niszczą urok każdego wybryku. Zawczasu przypisują niepopelnione czyny, potępiają, osądzą, nagadają się do syta. Po tym wszystkim nie ma racji zabierać się do występków.

Ona też jedna uprzedziła Karola, że jej mąż na wsi.

– Strzela niedźwiedzie – rzekła. – Ma już odziebione nogi, teraz może ręce odziebi. Trudno! Każdy musi znosić skutki swoich gustów. Ja wkrótce zanudzę się na śmierć ze zbytku przyjemności; on zanudzi się na śmierć, gdy nie stanie lasów i zwierzyny. Skutek prawie jednostajny.

Ucałowała mnie dwa razy, Karola przez roztargnienie nazwała kuzynem, nie mogła tylko przypomnieć sobie naszego nazwiska. Musiałam jej zostawić kartę, na której paznokciem zapisała numer domu i ulicę.

– Wpadnę kiedy do ciebie, jak będę w tamtej stronie; ale nie rachuj się z wizytami: mam ja jeszcze zaległe z przeszłego roku. Mam nawet takie, które oddam chyba po śmierci, w postaci pokutującego ducha, u tych nudnych ciotek... Wiesz!

Wizyta u Stelli ułagodziła trochę Karola.

– „Pyszna” kobieta! – rzekł, gdyśmy wsiedli do karety. – Ona jest twoją...

– Cioteczną siostrą.

– Bardzo bliskie pokrewieństwo! Jej mąż też zapewne bardzo miły człowiek? Nie mogę go sobie przypomnieć...

– Sążnisty drab, czerwony, z jasną czupryną i sterczącymi uszami; nie wymawia r, ł, t, d, z i wiecznie milczy, bo nie ma o czym mówić.

– Wiktor, Wiktor... A! Już wiem; owszem, bardzo miły, uprzejmy człowiek. Zapraszał mnie do siebie na polowanie, obiecał przysłać konie na stację...

– On wszystkich zaprasza i po wszystkich posyła konie.

– Ja też siebie do szczęśliwych wyjątków nie zaliczam.

Wizyty zepsuły coś w naszym życiu. W pierwszych dniach pozornie wszystko było w porządku. Karol tylko nieznacznie zwracał szczególniejszą uwagę na wygląd salonu. Z rana, przed wyjściem do biura, widząc, że jestem zajęta w jadalni, sam popodkładał kawałki bibuły pod krzywe nóżki stolików, przed kanapą w kącie nadłuczony niby japoński wazon obrócił całą stroną od frontu, odstąpił w tył parę kroków, obejrzał stolik, wazon, rzucił okiem po całym salonie, potem na mnie się obejrzał, poukładał śpiesznie książki na stole koło lampy, najczerwieńsze, z najsutszym złoceniem na wierzchu, widoczki Wiednia, Szwajcarii – z samego brzegu,

żeby każdy, kto siądzie przy stole, od razu miał je przed oczyma i pod ręką. Przez zapomnienie niby zostawił między książkami swoją srebrną cygarnicę z monogramem, zdobnym szlachecką koroną. Od progu wrócił się jeszcze, jeszcze coś poprawił, spojrzął uważnie po ścianach, na okna, portiery, na krzesła stojące gdzieś tam. Salon był za duży, za pusty. Sześć żółtych krzeseł, cztery fotele i kanapa zapełniały go w połowie zaledwie; fortepian jeden kąt zajmował, dokoła zostawało bardzo dużo miejsca. Rozwahał, namyślał się, może... porównywał. W końcu wziął z krzesła kapelusz i wyszedł zniechęcony.

Wracając z biura, zapytywał służącą, która mu drzwi otwierała, czy był kto. Pytał z cicha, stłumionym głosem, w sekrecie przede mną. Niestety, nie było nikogo!

Raz jeden wujenka wstąpiła na chwilę, wracając z kościoła. Obejrzała nasze mieszkanie, zapytała: czy ciepło? Czy nie wilgotno? Popieściła Stasię. W okrywce, w kapeluszu, z książką do nabożeństwa w ręku, przesiadła pół godzinki w jadalni, więcej patrząc na mnie, niż mówiąc. Czytała z oczu, z twarzy, czy mi dobrze, czy nie kłamię szczęścia dlatego tylko, żeby ją uspokoić, zadowolić? Nie wiem, co wyczytała... Odchodząc, uścisnęła mnie jak córkę i raz jeszcze głęboko w oczy spojrzała...

– Dziecko moje drogie, miej siłę, miej odwagę...
Wówczas z dobrej doli skorzystasz, złą naprawisz jakkolwiek.
Zresztą ty sama wiesz, co robić. Sieroctwo nauczyło cię rozumu.

Uścisnęła mnie raz jeszcze na schodach, a wieczorem przysłała masła, jaj i różnej drobnej prowizji. Na kartce, wyliczywszy przesyłane przedmioty, podpisała się „Twoja matka”.

Był to najszczęśliwszy dzień na moim nowym gospodarstwie.

W parę dni potem „wpadła” Stella w oliwkowym pluszowym kostiumie, w prześlicznym kapeluszu tegoż koloru, zła, nadąsana, osypana śniegiem, z błyszczącymi od gniewu oczyma, z zarumienioną twarzyczką – prześliczna!

– Wyglądam jak straszdyło! – zawołała w przedpokoju. – Chodź, patrz, co ze mnie zrobili!

Pociągnęła mnie za rękę do salonu do lustra, obróciła się w prawo, w lewo – i w wybuchu serdecznego oburzenia, bez przecinków, punktów, bez wykrzykników nawet, wypowiedziała cały swój żal, złość, wstyd i upokorzenie z powodu tej szkaradnej sukni.

– Mieszczkę ze mnie zrobili, starą aktorkę. Licho wie, jak w tym wyglądam! – powtarzała, spoglądając na stanik przez ramię, przechylając się na wszystkie strony. – Osiemset franków jak w ogień. Nie wiem jeszcze, co przesyłka kosztuje. Szkaradna, prawda?... Cóż, milczysz? Niepodobna, żebyś przez te parę miesięcy straciła resztę gustu.

Łagodziłam, jak mogłam. Ubranie było bez zarzutu, tylko trochę dla niej... za poważne.

– Wyglądam jak stara aktorka! Za trzydzieści lat jeszcze takiej sukni nie włożę!... Jak spojrzę na ten kolor, zdaje mi się, że mam już zmarszczki na twarzy! Sprzedam! Ale komu? Stare nie mają takiej figury, młoda żadna nie kupi...

Rzuciła się na fotel.

– Mam pyszną myśl! Wiktor powinien to kupić dla swojej Pepy. Mamy jednostajne figury. Mąż mój uwielbia mnie nawet w swoich kochankach! Podam mu ten projekt, to będzie oryginalnie! Nieprawdaż? Wiesz, że ja go szczerze kocham i nawet żałuję czasami. Chciałam go wykierować na porządnego człowieka, a zrobiłam dziwoląga! Tak, przyznaję, że mąż mi się nie udał. Na wsi był zupełnie w swojej sferze: gospodarował, nabierał tuszy, znakomicie ujeżdżał konie i nie miał długów, kłął jak z książki. Nieraz zanosłam się od

śmiechu, słuchając przez okno, jak on elegancko wymyślał na dworze. Słowem był znakomitym gospodarzem. Cóż, kiedy mnie to nie ratowało od nudów!... Wyciągnęłam go do miasta. Opierał się z początku, radził poczekać, aż będziemy mieli dzieci do wychowania. Wyłuszczyłam mu, że mogę nigdy nie mieć dzieci. Dał się przekonać. Och, jak ten człowiek nudził się w mieście! Niedźwiedź, wzięty z kniei i zamknięty w salonie, miałby weselszą minę! Dawałam mu kiedy niekiedy urlop; polował, objeżdżał lasy, oglądał konie i wracał dwa razy więcej rumiany! Więc też miałam serdeczną uciechę, gdy musiał przywdziać frak, białą krawatę i jasne rękawiczki! Wyglądał jak rostry proboszcz, przebrany za pana! Każda inna wstydziłaby się takiego niezgrabiasza. Ja go lubię; takie to dobre, posłuszne, łaskawe, prawie je z ręki. Staralam się go zabawić. Cóż, kiedy drzemie na operze, nudzi się na balach; w teatrze bawi się trochę, to znowu ja się tam nudzę, ale bywam dla niego czasami. W końcu znalazł tę Pepę!

Parsknęła śmiechem.

– Żebyś widziała, jaki jest śmieszny w roli winowajcy! Pozwoliłabym mu mieć dwie naraz, byleby śmiać się jak najdłużej! Po każdym otrzymanym bileciku poważnieje jakoś, zamyśla się... Natura walczy w nim z uczciwością, a ja przyglądam się temu z daleka i umieram ze śmiechu. Bilecik chowa ukradkiem do bocznej kieszeni surduta i zaczyna gwizdać, żeby sobie dodać otuchy. Unika mego wzroku, jest uprzedzająco grzecznym; posądzam nawet, że wówczas czci mnie jak świętą. O zmroku wysuwa się nieznacznie, ale ma tyle charakteru, że wraca najakuratniej przed obiadem, teatrem, słowem w oznaczonej przeze mnie minucie. Jest to dowód wielkiego taktu i delikatności.

Przerwała na chwilę, a potem trzepała dalej:

– Onegdaj siedzimy w łoży; wtem, w połowie widowiska do łoży naprzeciwko wchodzi dama w czerwonym staniku,

blondynka z mocno upudrowanymi włosami, w brylantowych kolczykach, biała, różowa, typ markizy z czasów któregoś Ludwika. Wiktor poruszył się na krześle. Spojrzałam na niego. Czoło, twarz, uszy oblały się rumieńcem w okamgnieniu. No, dziś chyba tylko mężczyźni tak rumienić się umieją.

„Chodźmy!” – szepnął. Udałam zdziwienie; zapytałam, czy nie chory, broń Boże? Położyłam rękę na jego ręce, w której krew biła jak młotem. Spojrzał mi w oczy nieśmiało, odwrócił głowę ku scenie, a przez cały czas ani razu do jej łoży nie spojrzał. Nazajutrz oznajmił, że wyjeżdża na wieś; wyjechał i dotąd nie wrócił. Nie, on nigdy światowcem nie będzie, tak jak ja nigdy się nie przerobię na wiejską gospodynię. Żeby on był chociaż trochę mędrszy. Konie, polowanie i karty. Tym trzem rzeczom mam być wierną, posłuszną, aż do grobu! Wątpię nawet, czy porozumnieje kiedykolwiek: dochodzi trzydziestki, w tym wieku mężczyźni rzadko się rozwijają!... Ciekawam jednak, kiedy wróci? Na pierwszym wstępie sprzedam mu tę suknię. Pepa się ucieszy, a ja podreperuję trochę swe interesa. Może już o niej zapomniał. We wczorajszym liście prosi, żebym przyjechała na wieś. Pojechałabym najchętniej... Cóż, kiedy z nim tak nudno, że po trzech dniach mam chęć zażyć morfiny!...

Wpadła na chwilkę, przesiedziała parę godzin, trzpiotowała się i poważniała na przemian; wyszła jednak z tym, że może jutro pojedzie do tego „poczciwca”, jeżeli nie będzie zbyt zimno, jeżeli ochota posłuży i nic lepszego nie będzie do roboty.

Prosiła, żeby ją odwiedzać między obiadem a herbatą, w najważniejsze godziny dnia, w których najczęściej na spleen cierpi. Wysłuchałabym parę godzin plotek, skarg, projektów najdziwaczniejszych – i to wszystko za filiżankę czarnej kawy!

Tego dnia Karol wrócił w fatalnym humorze. Podczas obiadu nic prawie nie jadł; wstał od stołu i zamknął się w swoim gabinecie.

W parę godzin weszłam do niego. Był śliczny wieczór księżycowy, smuga bladego światła oświecała gabinet. Karol siedział w fotelu, z głową odrzuconą na poręcz. Położyłam mu rękę na czoło: głowę miał gorącą, żyły drgały na skroniach, siedział nieruchomy, jakby nie czuł mojej ręki. Milczeliśmy oboje; odeszłabym, gdyby nie miał nic do powiedzenia. Po strasznie długim dla mnie milczeniu, kiedy coraz dotkliwszy żal i niepokój mnie ogarniał, ujął moją rękę, przesunął z wolna po twarzy i do ust przycisnął.

– Nieznośny jestem? – spytał, podnosząc ku mnie głowę.

Wiedziałam, że go coś gryzie, a nie miałam sposobu wyrwać całej prawdy z duszy. Na pytania odpowiadał żartobliwie albo wymijająco; bał się wyjawiać troski, kłopoty, jakby ta szczerość ubliżała jego stanowisku, odkrywała słabe strony jego charakteru, zaradność rozumu, zresztą sama już nie wiem czego.

– Jestem trochę zirytowany, to przejdzie! – uspakajał mnie, gładząc po głowie jak małą dziewczynkę.

Zauważył przy tym, że mam prześliczne włosy i że je układam trochę niedbale.

– Nie trzeba się trwożyć lada drobnostką. Gdybym miał wielkie strapienie, wiedziałabyś o tym.

– Ja o wszystkim wiedzieć powinnam!

– I po cóż to? Jeśli wolno spytać.

– Bo mnie domysły stokroć więcej dręczą niż najsmutniejsza prawda.

– Kobięca ciekawość!

– Tylko?

Nie wiem już, skąd zdobyłam wymowę – byłam podrażniona, rozzalona, byłam niespokojna o niego.

Wypowiedziałam wszystko, prawie wszystko, co miałam na duszy; na resztę może by słów w ludzkiej mowie nie stało. Chciałam przekonać, że go kocham, że zarazem jestem jego przyjaciółką, towarzyszką najwierniejszą, że każda chwila jego życia jest i moją zarazem, że on nie powinien mieć ani jednej myśli, o której ja bym wiedzieć nie mogła albo nie chciała.

Nie wiem już zresztą, co mówiłam; musiałam jednak powiedzieć rzeczy dla niego nowe, trochę dziwne może. Oczy otworzył szeroko, brwi podniósł nieco, parę razy próbował uspokoić, przerwać, w końcu słuchał nieruchomy.

– Jesteś dobrą, mądrą, śliczną kobietką! – powtarzał, całując na przemian moją jedną, to drugą rękę. – Tylko nie unosź się zbyt, nie rób tragedii z rzeczy najprostszych w świecie. Przede wszystkim bądź spokojną, nie dręcz się domysłami. Nie zważaj na mnie. Powiedziałem raz, że jestem stary grzesznik. Teraz dodam, że mam stare kaprysy. Ale będę się starał, żeby tobie było zawsze dobrze, spokojnie, wygodnie...

– No, i czegoż chcesz więcej? Przecież mi ufasz? – dodał po namyśle.

Chwilowe wzruszenie znikło. Przesunął ręką po czole, ziewnął.

– Cóż, pójdziemy może gdziekolwiek? Do teatru? – Wyjął z kieszonki zegarek. – Czas jeszcze. Zaczynamy się nudzić oboje!... Eh! Wróciłem dziś zmęczony jak pies. Głupia służba!

Zerwał się z krzesła, chodził po pokoju i gniótł ręce.

Wyszłam. Nie miałam już nic do powiedzenia.

Karol zapomniał o teatrze. Przyszedł na herbatę rzeświejszy, wypogodzony, przez cały wieczór bawił się niby ze Stasią, ale co chwila na mnie spoglądał.

– Może tobie co przeczytać? – zapytał, gdyśmy zostali sami. – No, wybacz, nie dąsaj się, do pewnych subtelności trzeba przywyknąć... Ja dotąd nic mogłem... Nie miałem zręczności. Z czasem, zobaczysz, i ja będę innym. Teraz zgoda? Co?

– A jednak co ty ze mną wyprawiasz! – dodał po serdecznym uścisku. – Rozmięknę, złagodnię jak baba, wkrótce zacznę haftować w krosienkach i szyć na maszynie...

– A mnie może wąsy urosną!

– O, nie! Na wszystko zgoda, pod warunkiem, że zawsze będziesz piękną i młodą.

– Druga część warunku za uciążliwa.

– A, to już twoja rzecz.

Gryzło go coś coraz dokuczliwiej. Nadrabiał rezonem, śmiał się, udawał wesołego, przede wszystkim unikał poważniejszej rozmowy. Kiedy niekiedy wyrywały mu się ostre słowa, niecierpliwił się, nawet gderał. Rozdrażniony, tym dotkliwiej czuł lekceważenie ze strony moich krewnych i znajomych. Przeszali mu się kłaniać. Prawdopodobnie nie pamiętali, czy go widzieli kiedykolwiek w życiu, on zaś przyjmował to za wyraźny, rozmyślny afront. Nie dbał o nich, nie potrzebował ich wcale; złożył wizyty, bo uważał to za obowiązek towarzyski, nic więcej. O głupocie ich wie nie od dzisiaj. Sam przecież na nieszczęście pochodzi ze starszłacheckiego rodu, w którym może nie było tytułów... Zresztą, przy usilnych poszukiwaniach, znalazłyby się i tytuły. Stryjeczny brat ciotecznej siostry ożenił się... itd. Oprócz tego wielkiego dygnitarza, zaplątanego jakimś tam sposobem w arystokratyczne spódniczki, byli inni, bardzo bliscy. On drwił sobie z arystokracji, ale, niestety, musiał przyznać, że sam do niej należał. Stąd też pochodziły w nim różne zachcianki głupie, których by nie znał może, mając w żyłach krew

młodsza, mniej zepsuta. Uwagi te wypowiadał pół poważnie, pół szydersko, przy czym usta mu drgały i zacierał ręce.

– Zresztą, może to i dobrze, że zwlekają z wizytami – dodawał w chwilach raźniejszego usposobienia. – Trzeba będzie trochę odświeżyć salon. Strasznie pusto jakoś... Dawniej tu było więcej roślin, wazonów. Lili niezmiernie lubiła kwiaty, umiała je pielęgnować. Teraz parę doniczek zaledwie...

Nazajutrz było już tyle roślin, na ile się zdobyć mogłam od razu. W gabinecie nawet ustawiłam mu parę najpiękniejszych; ale salon wyglądał pusto. Sześciu krzeseł trudno nadsztukować nawet dwunastu doniczkami. A on co dzień się kogoś spodziewał. Raz hrabia Leon, mając interes w banku, rozmawiał z nim uprzejmie, przesłał mi serdeczne ukłony i zapytywał o zdrowie. „Miły, rumiany, jedyny człowiek z całej tej kliky, z którym warto mieć do czynienia”.

– Przyjemnie mu nawet drobną usługę oddać – powtarzał Karol, wypowiedziawszy przedtem litanie pochwał.

I znowu srebrna papierośnica z monogramem i koroną zostawała na stole pomiędzy czerwonymi i niebieskimi książkami, a hrabia, stryjeczno-wujeczny dziadek, nie przychodził.

To znów któraś ze starych ciotek, wychodząc z kościoła, spotkała się z nim oko w oko, dała do ucałowania rękę w starej rękawiczce, przesiąkłej paczulą, i pozwoliła się odprowadzić do powozu. Podał jej ramię, odprowadził, usadowił. Staruszka przez wdzięczność polecała się jego pamięci, a przez uprzejmość nie mogła sobie przypomnieć jego nazwiska.

– Wiesz pan co? – rzekła raz jedna z nich. – Ja każdego urzędnika, bez różnicy wieku i stanowiska, nazywam zwykle „acaniem”. Pozwól tedy, że i ciebie „acaniem” będę nazywała. Kto by tam wasze nazwiska spamiętał!

Poczęstowała go przy tym tabaką, zaprawioną święconymi ziółkami, której szczyptę w dwóch palcach Karol do domu przyniósł. Spotkanie i rozmowę opowiedział ze śmiechem. Pocziwa staruszka rozbroiła go swoją naiwnością. Miał dziwną słabość do arystokratycznych matron.

Wskutek spotkania z ciotkami i hrabią kupił ładną podstawę do wizytowych biletów i dwa inkrustowane stoliczki, mające zapierać puste kąty salonu.

– Trzeba pomyśleć o nowych meblach – powtarzał, chodząc zresztą po bardzo przyzwoitym salonie.

Patrzył na mnie z pod oka, wyczekiwał może zachwytu albo może radości z powodu tak miłej zapowiedzi.

– Nie masz gustu, brak w tobie smaku estetycznego, który stwarza wielkie rzeczy z drobnostek – powtarzał nieraz w formie wyrzutu. – Tamta to miała. Drobiazgi, nic nieznaczące fatałaszkę, w jej rękach nabierały wdzięku. Jest to jedna z właściwości prawdziwych kobiet; właściwość, mająca ogromne znaczenie, ważniejsze może od wielu głośnych zalet, którymi starają się odznaczyć tak zwane kobiety z charakterem.

Słowo „charakter” podkreślał zawsze wyraźnie. Od niejakiego czasu słowo to oznaczało jakby zarzut, ku mnie zwrócony.

Gdyby tylko wracał mniej zmieniony, gdyby chociaż w części odzyskał dawny humor i dawny wygląd, przebaczyłabym mu stokroć dziwniejsze zarzuty. Stosunki w biurze, a może i długi, dręczyły go coraz widoczniej. Zmizerniał, zżółkł, do późna w nocy chodził z cygarem po salonie, gniótł ręce, aż w stawach trzeszczały.

Dla odwrócenia mojej uwagi układał plany przyszłego rautu, balu któryśmy mieli wydać... w nieokreślonym czasie, za miesiąc, za dwa, „gdy się stosunki ustalą”. Opowiadał o świetnej zabawie przed dwoma laty, za czasów Lili. W ogóle

przyjmowali u siebie często; znajomości mieli rozległe. Lili była czarującą gospodynią, miała wdzięk słodki, pociągający, którym zdobywała serca i szacunek wszystkich znajomych. Ubierała się z niezrównaną elegancją. Była to czarodziejka w swoim rodzaju, bez śladu kokieterii, a jednak powodzenie miała ogromne.

Wspomnienia te wywoływały rumieńce na zżółkłe policzki i chorobliwy blask w oczach. Patrząc i słuchając, miałam tylko jedną myśl, która mi w dzień i w nocy podgryzała serce... Bałam się, żeby nie zachorował.

Przyszły bal wymagał odnowienia znajomości. Tymczasem wielki świat pozostał w nawiasie. Należało odnowić stosunki z rodzinami niektórych kolegów, dawniejsze znajomości w ogóle, o których, wobec wielkiego świata, nie było wspomnienia. Filisterskie wizyty odbywają się w niedzielę, sam o tym nadmienił ze zgryźliwym uśmiechem.

– Nudni ludziska – dodał – albo pretensjonalni, albo safandudy!

W niedzielę tedy wybieraliśmy się z wizytami. Dzień był mroźny, słoneczny. W południe wyprawiłam Stasię z niańką na spacer. Maleństwo w białym kapturku, w białej salopce, w białych kamaszach, wyglądało prześlicznie. Nikt by nie poznał, że miała tylko macochę!

W mieszkaniu panowała słoneczna cisza. Przez wszystkie okna od ulicy promienie słońca zaglądały do pokoju, słały się po błyszczącej jak lustro posadzce. Nigdy jeszcze mieszkanie nasze nie wydało mi się tak wesołym, jasnym, czystym i eleganckim.

Ubrana w najgustowniejszy strój wizytowy, stałam przed lustrem w salonie, oczekując na Karola. Nie lubił, gdy go popędzano; z zasady utrzymywał, że kobiety marudzą bez litości, sam zaś z wielkiego pośpiechu po całych kwadransach rozczesywał zarost, czyścił paznokcie, zmieniał kilkakrotnie

krawatki. Widziałam, że stoi przed lustrem w gabinecie na wpół ubrany, obciąga kamizelkę i setny już raz spogląda to przez jedno, to przez drugie ramię na krój spodni, podnosi nogę, ogląda obcasy nowych butów i znowu zaczyna rozczesywać zarost malutkim grzebykiem. On mnie nie widział, nie domyślał się nawet, że czekam ubrana od godziny.

Ktoś zadzwonił w przedpokoju. Cichy, nieśmiały odgłos dzwonka przypomniawszy wierzycieli. W serce mnie ukłuło; bałam się najścia, dziś szczególnie. Wiedziałam, że Karol nie ma pieniędzy; ja też od kilku dni już nie miałam ani grosza. Słuchałam ze stłumionym oddechem.

– Pan w domu? – spytał służącej pan Maks nosowym głosem.

Ten... w niedzielę... z rana? Od czasu spotkania na dworcu był u nas raz jeden tylko, posiedział z Karolem w gabinecie i wyszedł, nie widząc się ze mną.

Teraz może też przyszedł na chwilę tylko. Czekałam. Marudził w przedpokoju, zdejmując systematycznie paltot, kalosze, czas jakiś nos ucierał, szorował nogami po podłodze, nareszcie wszedł do gabinetu.

Zatrzymał się za Karolem w milczeniu. Promień słońca oświecał go od stóp do głowy. Miał na sobie szerokie popielate spodnie i czarny tużurek, zapięty na jeden guzik; buty błyszcząły świetnie; rude włosy, rozczesane nad czołem, zwijały się w brunatne pukielki na skroniach; z czerwonych od mrozu uszu sterczały nieznacznie kawałki waty; długa twarz była jeszcze czerwiejsza niż zwykle. Chustką od nosa ocierał z wolna wilgotne wąsy i z wielką uwagą przypatrywał się nowym spodniom Karola.

– Słuchaj, czy przypadkiem ojciec twój nie był tandeciarzem? Dlaczego ty zawsze z takim nateżeniem

ogładasz moją garderobę? – spytał go Karol, rozczesując zarost w dalszym ciągu.

Przyjaciela widział w lustrze, nie potrzebował więc odwracać się na powitanie.

Pan Maks milczał; chustkę schował do tylnej kieszeni tużurka, poprawił binokle, postąpił parę kroków i usiadł w fotelu. Rzucił okiem na biurko, wziął jakąś kopertę, przeczytał adres; sięgnął po zapisany kawałek papieru, obejrzał, potem jeszcze jednej i drugiej rzeczy dotknął, nareszcie wziął scyzoryk i przybliżywszy rękę do oczu, zaczął bardzo pilnie skrobać paznokcie.

– Zimno dziś! – mruknął przez nos.

Spojrzał spod okularów na Karola, który w tej chwili nałożył tużurek i znowu to przez jedno, to przez drugie ramię spoglądał na swoje plecy.

– Cóż więcej powiesz? – zapytał Karol. – Wiem, że pojutrze termin weksła.

Odstąpił parę kroków, spojrzał na siebie od stóp do głowy, zbliżył się do lustra i rozpoczął zmuśny proces wkładania krawatki.

– Co myślisz robić ze wszystkimi procentami? – spytał Maks. – W tym razie chyba już Iza nie pożyczycy?

Mól przemknął w promieniu słonecznym. Maks podniósł się, wyciągnął rękę, złapał go i roztarł w palcach. Uśmiechnął się, spojrzawszy na szary pyłek na pakach.

– Kiepskie macie mieszkanie, w zimie nawet przechowują się mole. Jak sobie z nimi radzisz?

– Z kim? Z molami czy z wierzycielami?

– Co tam o wierzycielach gadać! Jesteś bankrut i basta! Z twego domu w najlepszym razie każdy wierzyciel po kilka cegieł dostanie. Zginiesz!

Znowu rękę wyciągnął za molem, tym razem jednak mniej szczęśliwie.

– Ja czy mól? – spytał Karol niby spokojnie. Czułam jednak, jak mu głos drżeć zaczyna.

Maks spoglądał na jego buty, to na swoje; w myślach może porównywał blask jednych i drugich.

– Nie słuchałeś mojej rady, a teraz na pewno sam tego żałujesz. Ożeniłeś się z biedną arystokratką... No, w tym jeszcze była intencja, protekcja, stosunki... Cóż, kiedy z tego korzystać nie umiesz!... Czarnockiego obrano na pomocnika prezesa, a ty zostałeś na głupich stu rublach, jak na lodzie. No, i na cóż tobie teraz ta żona arystokratką? Wakansu takiego nie doczekasz się ani za dziesięć lat, choćbyś po jej śmierci z księżniczką się ożenił. Dygnitarze na urzędach żyją długo. Na ich śmierć liczyć nie można.

Skrobał najspokojniej paznokcie i kiedy niekiedy głową kręcił w takt słowom.

Karol opuścił ręce, stał wyprostowany przed lustrem i słuchał. Zaciskał pięści z lekka – może poskramiał siebie wobec nieubłaganego wierzyciela...

Maks milczał przez chwilę, oblizał oskrobany palec i splunął przez poręcz fotela na dywan.

– Nie słuchałeś mojej rady – powtórzył – a teraz co będzie? W całym mieście nie ma takiego głupca, który by tobie choć szeląg pożyczył. Wszyscy śmieli się ze mnie, kiedyś tobie te trzy tysiące dawał... Ale ja o swój dług jestem spokojny, wiem, że odbiorę.

Spojrzeli na siebie: Maks ociężałym, sennym wzrokiem, Karol jakby zdziwiony.

– Zresztą, chciałem tobie dopomóc. Myślałem na razie, że chociaż głupio się żenisz, potrafisz skorzystać z położenia; i kiedy inni drwili, ja milczałem... Rzuciłeś Izę, która bądź co bądź bardzo dla ciebie była dogodną... Żenisz się, widocznie masz coś lepszego w perspektywie... Zaryzykowałem! No, ale teraz sam nie wiem, co o tobie myśleć. Chyba, że spodziewasz

się pomocy od krewnych żony?... Mówią, że ona nie ma ani szeląga. Złapali ciebie, biedaku. A!...

Syknął z bólu – zaciął się scyzorykiem w paznokiec, włożył palec do ust i ssał krew przez chwilę.

Karol zrobił ruch, jakby chciał go za kołnierz pochwycić... Opuścił rękę, wziął z krzesła cylinder i zaczął go wyglądać bardzo starannie.

– Nie chciałeś mnie słuchać, a teraz już i ja nic poradzić nie mogę! – mówił Maks.

Wyjął chustkę z kieszeni, owinał skaleczony palec, rozparł się w fotelu, nogi wyciągnął i z głową odrzuconą na poręcz spoglądał na Karola.

– Pieniądzy tych potrzebuję koniecznie... Wiesz przecie, dałeś słowo. No, to i gawędy nie ma. Pojutrze zapłacisz. Hm... Ale skąd weźmiesz taką sumę? Niech żona się stara!... Oddali ją tobie bez grosza, niech raz pomogą... Ale ty jej nie powiesz! Znam ciebie... Ceremonia, etykieta, wielkopańskie maniery! Och, jaką ty masz głupią naturę! Raz jeszcze dam tobie przyjacielską radę. I kto wie, czy tym razem nie posłuchasz mnie nareszcie! Wróć się do Izy. Dalibóg, to dobra kobieta, zadurzona w tobie po uszy. Nie dla ciebie przecież, ale dla córki twojej może wiele zrobić... No, jak myślisz? Ja tobie radzę...

– Pieniądze dostaniesz pojutrze, a z radami... precz na schody! – syknął Karol stłumionym głosem.

W gabinecie zapanowało głucho milczenie. Karol cisnął kapelusz na krzesło i odwrócił się plecami. Maks wyprostował się w fotelu, mrugnął kilka razy ociężałymi powiekami, patrzył na niego więcej zdziwiony niż zmieszany.

– Nie spodziewałem się tego po tobie! – rzekł powolnym, nosowym głosem.

Wyszedł. W przedpokoju marudził jak zwykle.

Gdy się drzwi za nim zamknęły, w mieszkaniu zaległa grobowa cisza; zdawało mi się, że słyszę przyśpieszone bicie serca Karola – to moje serce tak biło.

Znowu dzwonek. Wybiegłam do przedpokoju. Maks wrócił.

– Zapomniałem laski – rzekł, uchylając kapelusza.

Sięgnął w kąt po laskę i wysunął się bokiem przez drzwi.

Zamknąwszy drzwi za nim, wróciłam do sali. Obłąd mnie ogarniał, nie mogłam zebrać myśli. Zastłyszane słowa teraz dopiero poruszyły się w pamięci, chaotycznie jakoś... „Złapali ciebie, biedaku!” – brzęczało mi w uszach, zagłuszając resztę przytomności. Siedziałam w fotelu jak martwa, czekając, kiedy przyjdzie, co powie...

A może naprawdę jestem przeszkodą w szczęściu? Może króciutka przeszłość była snem tylko, a dopiero teraz zacznie się rzeczywistość?

Czekałam. W gabinecie – nie dawano znaku życia...

Jeżeli żenił się dla widoków... to się oszukał... Biedak... złapali go. Ten przecież znał go lepiej niż ja, odurzona szaloną miłością. Usychał, dręczył się, już przeklinał może jedyny głupi krok, a ja marzyłam, że mu życie osładzam, że jemu dobrze ze mną, a w przyszłości, gdy się zrozumiemy, jeszcze lepiej będzie. Egzaltacja! Chwilowe upodobanie pierzchło, a teraz, wobec chwilowych kłopotów, zgrzyta zębami, myśląc o mnie. „Z radami precz na schody!”. Otucha zrodziła się w duszy. Przecież mógł słuchać do końca, wysłuchawszy tyle w milczeniu... Coś się w nim obudziło – godność ludzka, czy miłość dla mnie – wszystko jedno. Rad Maksa usłucha może kiedyś, może wkrótce nawet, tymczasem musi mu być strasznie ciężko pod naciskiem długów i obelgi.

Weszłam do gabinetu. Mąż stał przed biurkiem, z rękoma w kieszeniach, wpatrzony w okno. Twarz moja musiała

powiedzieć więcej, niżbym chciała. Ściągnął brwi, wpatrzył się w moje oczy.

– Łotr! – syknął przez zaciśnięte zęby.

Poruszył nozdrzami. Błady był, zmieszany, usiłował wykazać siłę i spokój.

– Drobnostka! Załatwię to jutro albo dziś jeszcze. Sądził, że mnie przerazi.

Skrzywił się szydersko, uderzył nogą po dywanie.

– Nie takie miewałem kłopoty i jakoś dotąd dawałem sobie radę. Fagas! Że też ja z tym człowiekiem mogłem mieć interesa!...

Wzruszył ramionami, wpatrzony w okno. Stałam przy biurku nieruchoma, wyczekując jakiegoś słówka, które by mi dawniejsze życie wróciło. Karol milczał, nasrożony, gryzł usta. Spojrzał na mnie.

Przysunęłam się do ściany, nogi drżały, serce zamierało. Pierwszy raz w życiu siły nie dopisały w najpotrzebniejszej chwili.

– Ach, i ty mogłaś uwierzyć! Mogłaś przypuszczać! – powtarzał z żalem, z wyrzutem, gdy ochłonąwszy nieco, siedziałam przy nim na sofie.

– Ty mogłaś uwierzyć! – powtarzał.

W głosie jego słyszałam wszystko, co słyszeć pragnęłam.

– Znasz mnie przecie, musisz mi ufać... A pomimo tego uwierzyłaś temu nikczemnikowi!

Co ten człowiek plótł w ekstazie żalu i rozczulenia! „Ja dla niego porzuciłam stanowisko, hołdy, świetne otoczenie, zamknęłam się w domu, poświęciłam się dla jego dziecka itd.”. Dziwak! Nie wiedział niby, że całą mniemaną świetność, świat cały, oddałabym za jedną tę chwilę, w której te wszystkie brednie powtarzał.

– Z łotrem skończę od razu! – zawołał, biegnąc po pokoju. – Sprzedam, sfantuję się, a wypłacę co do grosza.

Będziemy żyli jakkolwiek, cóż robić! Nie my pierwsi i nie ostatni z dostatków, ze zbytków nawet, przychodzimy do... do... Zresztą tak źle nie będzie, jakoś to tam urządzimy... Z tym łotrem tylko pragnąłbym skończyć w jednej chwili. Chciałbym go zepchnąć z sumienia. Och, nigdy jeszcze nie czułem takiej nienawiści, pogardy, wstrętu obrzydliwego! Nikczemne to, takie podłe!

Wzdrygał się, krzywił usta, wzburzony; tej chwili sprzedałby duszę, żeby dług zapłacić; określonych jednak, pewnych jakichś środków zapłaty nie wskazywał.

– Sfantuję się, tak, sprzedam wszystko! – powtarzał, gniotąc ręce.

Słowa te uspokoiły go widocznie, zwalniały na razie od logicznego myślenia.

Wybuch minął. Na zakończenie Karol przytoczył urywanymi półsłówkami parę faktów, mających świadczyć o „łotrostwie” tego łotra, w istocie zaś były to bardzo zwyczajne postęпки praktycznego człowieka, który jedną jedyną drogę obrał sobie w życiu.

Usiadł przy mnie. Ręce mu drżały jeszcze, oddech był nierówny, ale myśl wchodziła już z wolna do zwykłego korytka.

– Co ja pocznę! – szeptał jakby sam do siebie.

Wpatrzył się w podłogę, dłonie oparł na kolanach.

Część długu brałam na siebie; w myśli zsumowałam wszystko, co tylko mogłam spieniężyć, do końca jednak było daleko.

– Mieszkanie swoje moglibyśmy wynająć, tak jak jest, ze wszystkim. W kasie na pensję mógłbym dług zaciągnąć! Och, więcej już nic nie wymyślę, nie poradzę, trudno na razie...

Tarł dłonią czoło, natęzał myśli – bałam się, żeby nie zwątpił, nie zachwiał się...

Rachując, potrafiłam nieznacznie o Maksa...
Nadmieniłam, że ten nie cofnie się przed żadnym krokiem.

– Bądź spokojna! Chociażbym miał drzewo rąbać, zapłacę go, wykupię weksel na termin! – zawołał, ożywiając się na nowo.

Wolałabym, żeby zamiast rąbania drzewa zajął się mieszkaniem jak najprędzej, w tej chwili.

– Szumski w zeszłym tygodniu szukał dla kogoś dużego lokalu – przypomniałam mu ostrożnie.

– Co tam Szumski! Stu amatorów znajdę na taki lokal.

– No tak, ale w przeciągu paru dni... trudno. Żebyś poszedł do niego zaraz...

– Jak to? Dziś, w tej chwili?...

– Dziś znajdziesz go w domu. Niedziela.

– Masz słuszość.

Wstał, sięgnął po kapelusz, wyszedł do przedpokoju ociężałym krokiem. Przeprowadzając go na schody, życzyłam w duchu, żeby spotkał Maksa w najbardziej aroganckim usposobieniu – toby go znowu zacięło na drodze honoru i obowiązku.

Posesja nasza, szumnie zwana „kamienicą”, składała się z piętrowego domku o sześciu frontowych oknach, zrujnowanego z kretesem. Frontowe mieszkania, kiedy niekiedy odnawiane, wyglądały nieźle. Dwa niewielkie skrzydła po jednej i po drugiej stronie podwórka były smutną rudera; małe okna w szerniałych ramach, zewnętrzne ściany od dawna niebielone, przypominały opuszczony klasztor.

Nad stajniami, naprzeciw naszego mieszkania, było parę pokojów o szerokich weneckich oknach; na pozór widne, wesołe, nie miały jednak jakoś szczęścia do ludzi. Jesienią mieszkała tam szwaczka, hoża, rumiana dziewczyna. Widywałam ją przez okno – szyła od rana do nocy; płótno, uszyta bielizna, rozłożona na krzesłach, na komodzie,

nadawały mieszkanku czysty wygląd. Wówczas astry kwitły w obu oknach, przysłoniętych u góry muślinowymi firankami.

Wieczorem zjawiał się akuratnie łysy, rumiany jegomość w szarym surducie z kościanymi guzikami. Siadał obok panienki przy maszynie i z kieszeni surduta wyjmował kawałki świec, stoczki różowe, zielone, pokazywał je i ustawiał na oknie. Raz przyniósł z półtora łokcia świętych obrazków, rozwinął, roztrząsał w powietrzu jak szarfę. Oboje popatrzyli uśmiechnięci, pokręcili głowami. Jegomość zwinął obrazki i położył przy panience na maszynie. W robocie jej nie przeszkadzał, zdaje się nawet, że nie rozmawiali z sobą; siedział zwykle schylony we dwoje, z łokciami na kolanach; patrzył, jak szyła i milczał. Czasem próbował rozprawić coś o maszynie, niezręcznie, nieumiejętnie – panienka dąsała się niby, śmieli się oboje: ona wesołym śmiechem młodości, on po staroświecku, z całą siecią zmarszczek koło oczu.

Raz przyniósł jej pierścionek. Z Matką Boską zapewne, gdyż dziewczyna, obejrzawszy, pocałowała w oczko i włożyła na palec. Odtąd przychodził co dzień najakuratniej i przynosił pierniki, wysadzone w gwiazdkę białymi migdałami. Jedli razem: ona, szyjąc, odłamywała po kawałku, on zjadał resztę. W parę tygodni potem szwaczka wyszła za zakrystiana.

Stróżka ubolewała przede mną nad jej losem. Dziewczyna była porządna, pracowita – zakrystian zaś miał ośmioro dzieci, pierwszą żonkę bił trochę. Na wyprawienie wesela sprzedali maszynę.

Odtąd mieszkanie próżnowało przez cały miesiąc. Wieczorem, gdy we wszystkich oknach zapalono światła, dwa ciemne okna nad stajniami wyglądały trochę smutnie. Namawiałam Karola, żeby oddał pokoje chociaż za połowę ceny.

– Zimno tam, wieje spod podłogi, trzeba będzie przerobić na kawalerskie mieszkania – odpowiadał.

Tymczasem amatorów nie było. Na kilka dni wprowadziło się dwóch studentów i spalili drzwi od szafy kuchennej i stare krzesło z wydarta siatką. Gdy mrozy przycisnęły, wyszli raz na zawsze, unosząc przez zapomnienie klucz od mieszkania. Został po nich litografowany podręcznik patologii i kawałek świecy w butelce. Stróż wymyślał im od „oskubanych kanalii”, a zatłuszczony podręcznik schował na dno skrzyni – może się kiedyś przyda dla syna.

Mieszkanie próżnowało. Podczas mrozów na szybach rysowały się fantastyczne freski z lodu, drzwi w kącie przy stajniach zamknięte były na kłódkę, a karta na bramie wciąż ogłaszała o dwóch pokojach do wynajęcia z kuchnią, z przedpokojem, z osobnym wejściem. Dogodności wymienione odstraszały może właściwych mieszkańców podobnych kryjówek.

Gdy Karol wyszedł, stałam przed oknem w jadalni, rozmyślając o wszystkim i o niczym. Machinalnie prawie wpatrzyłam się w dwa okna nad stajnią – słońce spędziło lód z szyb, po ścianach ku drzwiom stajni spływały ważkie strugi wody. W pokoikach było trochę sprzętów: stół, jesionowa kanapa, szafa i dwa łóżka. Można oczyścić i ogrzać... Widziałam już siebie w tym nowym mieszkaniu... ustawiałam, miarkowałam. Myśl praktyczna... ale czy on się zgodzi? W każdym razie kazałam tam natychmiast podpalić w piecach. Spoglądałam przez okno, jak wąska smuga dymu unosiła się z jedyne go komina... Zgodzić się musi – trudna rada.

Maks wspomniał o moich krewnych. Z całego zastępu wiele pokaźnych imion i fortun w ostateczności pozostawała mi tylko Stella i wujostwo. Stella rzuciłaby bez rozmysłu choć sto tysięcy – gdyby miała. W istocie zaś sama potrzebowała pieniędzy. Zresztą, kto by tam z nią mówił o takich sprawach! Zaczęłaby mi zazdrościć łez, trudów, cierpienia, wrażeń. Ona jedna tylko żyje z dnia na dzień – jak kamień, powoli mchem

starości porasta. Tonie w nudach! Ulubiony jej frazes, który zamierza z małą zmianą wyryć na swym grobowcu. Po głównym wybuchu zapomniałaby, z czym przyszłam; zaproponowałaby mi spacer w swoim powozie albo miejsce w swojej łoży. Wprawdzie niekiedy bywa niezmiernie uprzejmą – najprędzej jednak skończyłoby się na filiżance czarnej kawy.

Wujenka zachorowałaby ze zmartwienia, ale pomoc nie mogła. Ona i tak już domyślała się czegoś... Ile razy wstąpiłam do niej, patrzyła mi w oczy badawczo; wyczekiwała, czy się nie zacznę uskarżać. Pytać nie śmiała – dla niej dusza ludzka jest nietykalna. Wolałabym zameczyć się na śmierć, niż zmartwić ją chociaż jednym słowem. Zresztą, to by się na nic nie zdało!

Wuj Adam na świecie widział tylko samych wybrańców losu, dokoła tylko samo szczęście. Według niego, wszystko szło wybornie, wyśmienicie, doskonale, a te tam... jakieś... tego... nieporozumienia z losem... należało wymijać jakkolwiek... nie brać zbyt mocno do serca, w końcu opędzać się od nich śmiechem i dobrym humorem. Czerstwy, piękny starzec patrzył na życie pogodnym wzrokiem biblijnych młodzieńców z gorejącego pieca. Dar jakiś nadziemski znieczulał go na wszystko. Patrząc w pogodną twarz, w dowcipne oczy, zdawało się, że nawet pchły zbyt mocno kąsać go nie mogą!

Witał mnie zawsze z otwartymi ramionami, zasypywał wykrzyknieniami o mojej szczęśliwej, rozpromienionej twarzy.

– No cóż? Dobrze wam z sobą, doskonale, wybornie! – powtarzał, biegając drobnymi kroczkami po pokoju.

Chrupał miętowe cukierki i kiedy niekiedy mrugał na mnie filuternie.

– Młodość, miłość – pyszne rzeczy! Gdybym nie był starym, chciałbym być młodym! Tak, tak, młodość to... to...

wspaniały hymn, do którego słowa pisze wiek dojrzały, a starość dodaje ortograficzne znaki. Szczęśliwi tedy jesteście? Ten... ten... twój... jak go tam... wcale tego... wcale przyzwoicie wygląda. Kochacie się? Co? Ślicznie wyglądasz, filutko! Ot, co to znaczy prawdziwe szczęście!

Z tymi słowy witał mnie i zegnał. Nie znosił krzywej twarzy, złego humoru, od wszelkich kłopotów zmykał do swego gabinetu, urządzonego ze wszelkim możliwym komfortem. Wychodził wówczas dopiero, gdy się rozpogodziła domowa atmosfera, gdy był pewien, że mu żadnych skarg, jęków i tym podobnych facecji do uszu nakładać nie będą. Obracał się plecami do kominka, rozchyłał poły surduta i jak tylko ciepło przejęło go od stóp do głowy, wpadał w najlepszy humor. Ulubiony pinczer lizał mu buty, kręcił się, skakał przy nogach; wuj śmiał się, przemawiał do niego pieszczotliwie – obaj rozumieli się wybornie.

Gdy podczas tej wesołej rozmowy ciotka nadmieniała o rachunkach, o niezbyt pomyślnych wiadomościach od rządu – kiwał głową na znak, że słyszy, a jednocześnie robił najpociesniejsze miny do pieska. Podnosił brwi, składał usta w serduszko, trząsał głową, straszył go niby, pomimo tego słyszał każde słowo żony, stan interesów znał wybornie, ale... cóż na to wszystko poradzi? Za stary do pracy, za młody do umierania – pierwszy żartował ze swego niedołęstwa. Rzucił ciotce parę bardzo trafnych uwag, obiecywał, że... że do tych wszystkich „awantur” zabierze się z czasem, tylko teraz niech mu dadzą święty spokój – o pieniądzach niech nie wspominają, bo on na to poradzić nie może.

– Chyba Bela na loterię puszcze? – kończył żartobliwie, zwracając się do pieska. – Cóż ty na to, Belu? – zapytywał pochyłony, patrząc mu w oczy.

Belo kręcił rozumnie ogonem, wuj śmiał się. Tak się kończyły prawie wszystkie konferencje majątkowe, podczas których bywałam nieraz niemym świadkiem.

W krytycznych razach wołał rządcę, cały dzień siedział nad rachunkami, rozpisywał listy, Bela nogą za drzwi wyrzucał. A gdy po takiej „ministerskiej pracy” wyszedł z gabinetu, wyglądał mizernie, oczy miał znużone, głowę związaną mokrą chustką, biegał po pokoju, trzęsąc rękoma.

– Kiepsko, bardzo kiepsko! – powtarzał. – Wolałbym, żeby było lepiej. No, cała nadzieja, że pomrzemy przed bankructwem. Belu, pójdź tu, głupcze! Wyrzuciłem cię za drzwi. Biedny piesku, źle trafiłeś! Fatalnie trafiłeś! No, pójdź tu, pożałuj pana!

Siadał na krześle, Belo wskakiwał mu na kolana, lizał po brodzie, po twarzy – równowaga moralna wracała z wolna.

Był czynnym członkiem dwóch czy trzech instytucji; raz nawet, w zastępstwie prezesa, wypowiedział świetną mowę – rozumną, iskrzącą się dowcipem, z której kilka świetnych frazesów weszło niemal w przysłowie.

– Ua! Rozmيناłem się z przeznaczeniem – powtarzał żartobliwie, gdy mu wieszowano wymowy. – Powinienem być urodzić się co najmniej ministrem... Teraz jednak uwolnijcie mnie od prezesostwa, to dla mnie za mała rola!... Czy mam rację, Belu? – zapytywał pieska, jak w każdej wątpliwej sprawie.

Lubiłam go szczerze, ale przez myśl mi nawet nie przeszło mówić z nim poważnie. Wyobrażam sobie, jakby się zdziwił, gdybym przyszła do niego z prośbą o radę, o pomoc. Potem by się może zamyślił, zasmucił, ale na razie zdziwiłby się bardzo... i mimowolnie spojrzalby na Bela.

O innych krewnych nie pomyślałam nawet.

Pośród skromnych kosztowności, przeznaczonych na sprzedaż, najpokaźniej wyglądał Karola zaręczynowy

pierścionek z brylantem. Był to wdowi grosz, najdroższy, bo jedyny, który należało rzucić na kupę różnych małej wartości drobnostek.

Słońce zachodziło. Przygotowywałam z wolna do obiadu, co chwila oczekując Karola. Stasia spała w sali na kanapie, przykryta białą włóczkową chustką.

Wrócił nareszcie. Usłyszawszy dzwonek, wybiegłam do przedpokoju.

Weszła jakaś dama w krótkim aksamitnym futerku, w fantazyjnym kapeluszu z olbrzymim piórem. Za nią wsunął się wysoki mężczyzna w czarnych niedźwiedziach. Przyszli obejrzyć mieszkanie. Byłam rada i jakby zmieszana zarazem.

Mężczyzna został w przedpokoju, nie chciał zdejmować futra i kaloszy. Różowiotka pani w brylantowych kolczykach, z napudrowanymi włosami, przebiegała pokoje, kręcąc główką na wszystkie strony. Rzuciła zwykłe pytania. Czy ciepło? Czy sucho? Czy spokojni sąsiedzi?... Buduar ją zachwyił, w sali wzięła fałszywy akord na fortepianie. Ujrawszy śpiącą Stasię, cofnęła się, przyłożyła do ust paluszek, spojrzała na mnie zakłopotana. Była przystojną – chciała uchodzić za prześliczną, pełną wdzięku i niewinnej kokieterii. Mężowi, czy tam komuś, szepnęła słów kilka do ucha, kręcąc główką zalotnie. Wychodząc, oznajmili, że mieszkanie jest dla nich najzupełniej odpowiednie.

Karol wrócił o zmroku. Otwierając drzwi, powiedziałam mu zaraz o wizycie przyszłych lokatorów.

– Och, wiem już! – mruknął i wszedł do gabinetu.

Podczas obiadu siedział nachmurzony, brwi marszczył, udawał, że go blask lampy razi. Podparł czoło ręką i przez cały czas ani na mnie, ani na Stasię nie spojrzał.

Nadmieniłam o mieszkaniu nad stajniami.

– W suterrenach obok stróża jest też izdebka – odrzekł, nie podnosząc głowy.

Milczeliśmy oboje. Stasia tylko kręciła się w swoim wysokim krzeselku.

Karol zapalił cygaro – rozparty w krześle, gonił wzrokiem kółka dymu.

– Rób, jak chcesz – rzekł. – Spełniłem twoje życzenia; mieszkanie oddane. Pośpieszyłaś się zbytecznie... kobiecy zapal! Teraz cofać się już nie czas... Wziąłem zapłatę.

Wpatrzony w lampę, gryzł cygaro, poruszał nozdrzami.

– Zresztą, parę tygodni, miesiąc, można przemieszkać gdziekolwiek. Wkrótce to się wszystko ułoży, załatwi – mruknął jakby do siebie. – Ten głupiec jutro mnie przeprosi! – dodał z szyderczym uśmiechem. – Nie warto było traktować go zbyt poważnie. Z takimi najłatwiejszy interes.

Patrzyłam mu w twarz uważnie. Wstał, odsunął krzesło – z cygarem w ustach począł chodzić po sali. Zły był na mnie i może pierwszy raz szczerze pożałował biednej Lili. Z tamtą nie potrzebował robić takich ceregieli. Pojednaliby się jakkolwiek z Makssem, zapłaciliby mu trochę większe procenta i czas jakiś wlokłoby się wszystko jak dotąd. Potem... no, znowu jakimkolwiek sposobem zażegnałby katastrofę chwilowo.

Raptowny, stanowczy krok odurzył go na razie jak piorun... Teraz gdy ochłonął, otrzeźwiał, żałował nierozważnego postępu, całą winę zwał na mnie.

Czułam to i jak wierny żołnierz, postanowiłam wytrwać na stanowisku do ostatniej chwili.

Nazajutrz, zaledwie Karol wyszedł do biura, zaczęła się przeprowadzka. W parę godzin wszystko już było urządzone.

Mieszkanko wyglądało jak szewska izba, w której przypadkiem rozlokował się podróżujący magnat. Na białej podłodze, z szerokimi szczelinami między każdą deską, rozesłano dywany. W oknach o szerniałych ramach zawieszono story i firanki; drzwi wchodowe, dla ochrony

od wiatru, osłonięto kołdrami. Nim Karol wrócił, w pierwszym pokoju stało jego biurko, jesionowa kanapa pokryta ceratą, szafa czerwono malowana, kilka starych siatkowych krzesełek i kufer podróżny przy piecu z zielonych kafli. Z kuchni zalatywał zapach smażonego mięsa i tego „czegoś”, co zawsze z kuchni zalatuje.

W drugim pokoju, o żółtych ścianach i dziurawej podłodze, urządzono sypialnię. Był tam duży zapiecek, w którym Stasia od razu ulokowała swe lalki. Czysto było, jasno, prawie wesoło. Tylko żółte ściany nie przystawały do zielonych pieców, ale z czasem oko mogło się z tym oswoić.

Chciałam, żeby się Karol spóźnił. O zmroku albo przy świetle mieszkanie wyglądałoby o wiele lepiej. Zawczasu zapaliłam lampę na stole przed jesionową kanapą. Czatowałam na niego w oknie.

Wszedł do bramy, zatrzymał się przed drzwiami dawnego mieszkania. Tragarze wnosili właśnie kufry na schody... Popatrzył na nich i jak lunatyk powlókł się przez podwórko ku stajniom. W sieni też musiał się zatrzymać. Po schodach szedł bardzo wolno. Pojawił się w końcu. Paltot i kapelusz zdjął przy drzwiach i prosto poszedł do kanapy, gdzie bawiła się Stasia.

Miał minę dyskretnego gościa, który nie chce kompromitować ubogiego gospodarza, udaje tedy, że wcale nie zwraca uwagi na zbyt skromne otoczenie. Z ukosa tylko rzucił okiem po kątach.

Przy obiedzie obejrzał się na drzwi od kuchni, na zapachy różne wzruszył ramionami, ale nie powiedział ani słówka. Tylko gdy wiatr zawiał na dworze, a szyby w oknach zabrzęczały, spojrzał na mnie szyderczo, jakby chciał powiedzieć: „Masz, czegoś chciała!”.

Wstał od stołu i stanął przy biurku wpatrzony w żółtą ścianę; sam nie wiedział, co z sobą zrobić. W tej porze zwykle

odpoczywał na otomanie w gabinecie, drzwi zamykano dokoła, zabierałam Stasię do swego pokoju – spał sobie w błogiej ciszy. Tu, na jesionowej kanapie, która służyła za miejsce spoczynku kilkudziesięciu lokatorom – za życia chyba by się nie położył.

Tymczasem w dawnym mieszkaniu oświetlono wszystkie okna. W jadalni, gdzieśmy wczoraj siedzieli, zasiadło kilka osób. Mnie samej zrobiło się trochę przykro. Karol podszedł do okna, czoło oparł o szybę – wzrokiem śledził ruchy nowych lokatorów.

Stałam obok niego.

– Boję się, żeby nie zniszczyli mieszkania i mebli – rzekł stłumionym głosem.

– Cóż robić? Nie mogliśmy się inaczej urządzić.

Skrzywił się ironicznie.

– Widać, żeś nigdy nie miała żadnej własności, a przechodząc od jednych krewnych do drugich, nie nauczyłaś się szanować własnego kąta. Ja żyłem dotąd w innych warunkach. Nie mogę się zdobyć na bohaterską obojętność.

Odeszłam ku sofie i zaczęłam rozwieszać jego odzież. Dość długo nie mogłam jakoś tużurka od spodni odróżnić; mieniły się w oczach, z rąk wypadały. Uspokoiałam się w końcu. Tego wieczora miałam jeszcze wiele do roboty. Karol wybiegł z mieszkania, wrócił po kwadransie; usiadł przy stole naprzeciw mnie i Stasi. Czułam, że patrzy na mnie, lecz oczu od roboty podnieść nie mogłam. Pierwszy wieczór przemilczeliśmy oboje.

Kiedy Stasię układałam w łóżeczku, osłonionym ze wszystkich stron dywanami, wszedł do sypialni, stanął przy mnie – Stasia oddawała nam kolejno dobranoc.

– Przepróż mamę za mnie – szepnął i wyszedł z pokoju wprzód, nim zdołałam na niego spojrzeć.

Przez parę tygodni żył jak w odrętwieniu, zmizerniał strasznie, zobojeźniał. Wróciwszy z biura, nakładał szaraczkowy surdut, stare kalosze zamiast butów, w rozpiętej koszuli siedział całymi godzinami zasunięty w głąb kanapy, z ręką na poręczu, wpatrzony w przeciwległą ścianę. Nic go nie zajmowało, na zapytania odpowiadał poruszeniem głowy, czasami tylko mruknął słówko i znowu milczał.

– Życie! – zawołał raz z gorzkim uśmiechem, gdy po usilnym staraniu zdołałam go nieco ugłaskać. – Cóż mi z tego życia! Wszyscy się nas wyrzekli, jak zbrodniarzy, jak zadzumionych. Gnijemy w tej norze przeklętej, marniejemy z dnia na dzień... Wolałbym śmierć! Żeby już skończyć to podłe konanie! Sam nie wiem, co mnie wstrzymuje... powinienem był skończyć od razu.

Ani do serca, ani do sumienia trafić nie mogłam, nie umiałam może... Wzruszał ramionami, krzywił się na wpół gniewnie. Całymi godzinami stał w oknie, skąd mógł widzieć dawniejsze nasze mieszkanie oświetlone paradnie, przysłuchiwał się dźwiękom fortepianu, przeżywał razem z nowymi mieszkańcami choć cząstkę dobrobytu i wesołości.

– Dziś bal u Kratzerów! – rzekł raz do mnie wieczorem, gdy się zabierała do spania.

W oświetlonych pokojach przesuwały się panie postrojone balowo. Panowie we frakach, w białych krawatach, stali przy drzwiach gromadnie. Jakaś para stanęła naprzeciw nas w oknie. Ona w białej, głęboko wyciętej sukni, z obnażonymi rękoma, szeptała mu coś do ucha, oparłszy wachlarz na jego ramieniu. Do pokoju weszło kilka osób. Pani znikła, na jej miejscu stanął siwy, otyły mężczyzna, palił cygaro i dym puszczał przez odemknięty lufcik. Karol poruszył nozdrzami – zdawało się, że woń dobrego cygara doleciała aż tu do nas...

Pozostał w oknie do późna. W nocy nie spał, przewracał się na łóżku i wzdychał.

Nazajutrz wyglądał okropnie. Prosiłam, żeby nie szedł do biura.

– Pozwól choć na kilka godzin wyrwać się z tej jaskini! – syknął przez zaciśnięte zęby.

Nie był to ani kaprys, ani czasowa choroba; złe tkwiło daleko głębiej, niż myślałam. Dopóki się dąsał, zgrzytał zębami, martwiłam się trochę, łagodziłam go, jak mogłam, nie tracąc nadziei, że z czasem oswoi się, przywyknie, dawne usposobienie choć w części odzyska. Stopniowo jednak pozbył się rozdrażnienia, złagodniał, a jednocześnie tracił siły, apetyt, skarżył się na ból głowy, nikł w oczach. Wychodził do biura bardzo rano, wracał coraz później, pisał wieczorami. Herbatę tylko pił bez miary, podawał mi opróżnioną szklankę, kiwał głową, gdy stawiałam przed nim świeżą, i pisał dalej.

Przemawiać do niego nie miałam odwagi. W końcu zaczęłam wyrzucać sobie smutne następstwa całej tej sprawy. Inaczej pojmowaliśmy szczęście. Może powinnam była tylko słuchać i milczeć albo i nie słuchać wcale. Zbyt raptownie popchnęłam go na inną drogę. W atmosferze tej żyć nie mogł, a przynajmniej musiał przetrwać strasznie ciężki nowicjat. Któż wie, czy przetrwa?...

Z bólu, z trwogi traciłam przytomność. Chwilami gotowa byłam prosić, zebrać pomocy, byleby chociaż na jakiś czas dawną świetnością go otoczyć. Na szczęście myśli te trwały krótko. Wytwarzała się we mnie jakaś doktorska rezygnacja; traktowałam go jak niebezpiecznie chorego, a jednocześnie czekałam przesilenia choroby. Dawniejszy, świetny Karol żył już tylko w moim sercu, dzisiejszy – automatyczny urzędnik, zdawał się nie dbać o dawne uczucia – potrzebował tylko dobrze przyrządzonej herbaty. Otwierał oczy szeroko, ile razy zwróciłam się do niego z troskliwym, serdecznym słowem.

– Co ja zrobię? – powtarzał czasami jakby do siebie. – Co ja zrobię?... Wszystko się tak poplątało... Chaos w interesach... Chaos w myślach... Często sam nie wiem, co mówię... Żona... dziecko!.. Trudno... radzić jakoś trzeba...

Wyglądał ostatecznie przygnębiony, bezsilny, jakby teraz dopiero poczuł cały ciężar dobrowolnie przyjętych obowiązków. Bezsilność graniczyła w nim z niemą rozpaczą, z okropnym stanem odrętwienia, w którym nie zdaje się już sprawy z uczuć i postępów. Bałam się strasznego końca.

Radziłam sprzedać dom – załatwić, o ile można, interesa; usiłowałam nadać mu jakąś sprężystość, rozbudzić zajęcie, chociażby wspomnieniem o długach. – chociaż w duszy przekonana byłam, że sam szatan nie potrafi wypłatać nas z interesów.

Kręcił głową przecząco, wciąż jeszcze miał jakieś nadzieje.

– Domu sprzedać nie mogę, straciłbym ostatecznie grunt pod nogami. Wszystko to przecież zmieni się z czasem, musi się zmienić... Na razie tylko nie mogę wszystkiemu podołać...

Opierał głowę na rękę, siedział nieruchomy, obmyślał może środki zaradcze, chociaż w oświeconych oczach myśli żadnych nie było ani śladu...

Raz, w słoneczne południe, wyjrzawszy przez lufcik, spostrzegłam w bramie Wiktora. Stał z kartą wizytową w rękę, oglądał się na prawo, na lewo, w końcu zapukał do okienka stróża. Pogadali ze sobą, stróż wskazał głową w stronę stajen, Wiktor podniósł głowę, spojrzął w nasze okna, wręczył stróżowi kartę i wyszedł.

Kartę położyłam na biurku Karola. Ujrzał ją od razu, jak wrócił, i w progu już zapytał:

– Kto był? – w paltocie, w kapeluszu podszedł do biurka.
– Wiktor... on... a!...

Wpatrywał się w nazwisko, obracał kartkę w palcach, spojrzął na odwrotną stronę, raz jeszcze przeczytał imię i nazwisko półgłosem.

Do obiadu zasiadł rzeświejszy, zacierał ręce, spojrzął na mnie, na Stasię, uśmiechnął się parę razy, dziewczynkę po główce pogłaskał.

– Śliczna dziś pogoda! – rzekł, jakby tłumacząc nagłą zmianę w usposobieniu.

Wieczorem wybrał się do resursy na partię wista... Wyglądał bardzo mizernie. Kiedy rozdzielał włosy przed lustrem, ręka mu drżała – musiał kilkakrotnie rozpoczynać na nowo.

– Zasiedziałem się zbyt mocno, zdrętwiałem, trzeba się orzeźwić. Wiktor też pewno będzie w resursie – dodał, rozczesując zarost z dawną starannością.

Wychodząc, zauważył, że ma trochę za mało pieniędzy. Podałam mu swoją portmonetkę. Zawahał się.

– Eh, może grać nie będę! – odrzekł. – Tak, posiedzę chwilkę, porozmawiam... Ani sądzę, żeby się złożyła odpowiednia partia.

Życie wraca! Najmniej pożądaną drogą, ale wraca! We mnie też nadzieja odżyła raptownie. Pozbędzie się osłupienia, będzie zdrów, wesół, weźmie się do pracy... Nie dam mu zapleśnieć w biurowym zajęciu. Byłam strasznie ambitna – rola kucharki i niańki zadowolić mnie nie mogła; uśpione chwilowo rojenia rozbudziły się w duszy. Nigdy jeszcze z tak radosnym pośpiechem nie pozmywałam szklanek po herbacie.

Stasia bawiła się na kanapie, układając lalkę bez głowy na poduszce z piasku; kiedy niekiedy zapytywała: „Dlaczego pies nie jest kotem? Czemu koń ma jedną głowę? Czy wilk je lalki?” i tak dalej.

Odpowiadałam jej ze śmiechem. Dziewczynka podniosła główkę, popatrzyła na mnie uśmiechnięta. Ucałowałam ją

stokrotnie. Nawet te smutne, pełne trwogi tygodnie, w porównaniu z moim panięmskim, bezcelowym życiem, wydały mi się prawie znośne, budziły jakiś interes... Może Stella ma słuszość, zazdroszcząc bolesnych wrażeń... przeżyty smutek służy jako wyborne tło do dalszego życia – lada promyk nadziei świetnie się na nim rysuje.

– Najgorsze już przeminęło! – powtarzałam sobie w duszy, kiwałam głową, potakując własnym myślom.

Dawniej resursa wydawała mi się czymś w rodzaju niebezpiecznej rywalki – teraz myślałam o niej jak o sprzymierzeńcu.

– Rozerwie się trochę, wróci rzeźwiejszy, a niech tylko raz, drugi, weselszym okiem spojrzy na swoje otoczenie, wszystko się wyda inaczej. Mnie samej tego wieczoru nawet żółta linia z zielonym piecem wydała się wcale przyzwoicie.

Rozgrzane prusaki szeleściły za piecem, mysz gryzła coś w kącie pod szafą; nad samym biurkiem Karola karaluch śpieszył po ścianie do papierów. Ileż to złośliwych wejrzeń, szyderczych uśmiechów zniosłam z powodu tych istot, wygłodzonych długim postem w zimnym, pustym mieszkaniu. W końcu oswoił się z nimi, z czasem oswoił się ze wszystkim. Dawno już nie usypiałam z tak błogim spokojem w duszy.

Nazajutrz, po tygodniowej odwilży, był silny mróz, wiatr huczał, do pokoju przez zamarzone szyby zaglądało szarawe światło, wiało chłodem z każdego kąta, izby przybrały naraz bardzo smutny wygląd.

Przez cały ranek Karol chodził po pierwszym pokoju, z rękoma w kieszeniach, z głową w ramionach, zamyślony, gryzł zgasłe cygaro – do biura się nie wybierał. Spojrzał na mnie z ukosa, kiedym przechodziła do kuchni i śpiesznie głowę ku oknu odwrócił.

U Kratzerów znowu przygotowywano się do balu. Przy każdym oknie wzdłuż ściany wisiał zajac, kilka ptaków

związanych nóżkami, oskubany indyk; wiatr poruszał zmarzniętymi zwierzętami, niekiedy zasypując je śniegiem.

Karol patrzył na zwierzynę, na wyczyszczone kandelabry i lichtarze, rzędem stojące na oknach; milczał jednak – widocznie pochłaniało go coś ważniejszego.

W południe wystroił się jak do trumny. W eleganckim garniturze, w krawatce pasowej z białym w pasy – wyglądał strasznie. Usta spieczone, policzki zapadłe, oczy przymykał co chwila – przyznał się, że głowa go trochę boli... Ściągnął brwi, szukał czegoś, pochylony nad szufladą biurka. W końcu znalazł parę żółtych rękawiczek z czarnym naszyciem – zaczął je nakładać z wolna, stając pośród pokoju.

– Każ ubrać... Stasię – rzekł do mnie, naciągając starannie rękawiczki, – Pojedzie ze mną.

Zamilkł – przycisnął rękę do czoła. Patrzyłam na niego zdumiona.

– Pojedzie ze mną! – powtórzył.

Zaczął biegać po pokoju, umyślnie, żeby na mnie nie patrzeć.

– Niepodobna trzymać dziecka w tej mordowni, zachoruje!... Zresztą nie ma potrzeby marnieć tu z nami. Za czyjś... upór nie potrzebuje pokutować. Zahartowałyby się zbytecznie, a z tym nie do twarzy kobietom.

Zaśmiał się, zatarł ręce. Biegał po pokoju wpatrzony w ziemię.

– Niech już sobie wyrasta na zwykłą kobietę, mnogie skutki „wielkiego charakteru” opłacamy teraz nędzą, poniżeniem... Ośmieszyliśmy się dobrowolnie, dla fantazji, dziwactwa, które w egzaltowanej mowie „obowiązkiem” się nazywa. To lubię! Więc dotąd żyłem jak nikczemnik? Po cóż było, u licha, z taką skwapliwością oddawać rękę temu nikczemnikowi! Frazesami szafować najłatwiej! Ale gdy wskutek frazesów kamień gryźć trzeba, wówczas zobaczymy,

do czego posłuży nieskazitelny charakter. I co kogoś mogły obchodzić moje rachunki, długi, akuratna lub nieakuratna wypłata? Połowa miasta żyje z długów, ale nikt przed wierzycielem nie kryje się do nędznej chałupy, nikt nie obwołuje siebie bankrutem nie w porę. Tylko pod wpływem podłej hipokryzji mogłem zrobić podobne głupstwo. Zgubiłem sam siebie! Dotąd imponowałem stanowiskiem, nikt nie śmiał mi nie ufać. Dziś jak w bęben biją, zem bankrut, a wszystkiemu temu myśla nora winna. Sam czart nie zdołałby oddać mi podlegszej usługi. Wiele wygram, gdy wierzyciele rozdrapią za miesiąc to, na co by dziesięć, dwadzieścia albo sto lat czekać musieli. Ten głupi Maks, jak zwykle, groził niby... Chciał, żeby mu się kłaniać, prosić... Kilka słów gorących zażegnałoby całą awanturę. Czy ja go nie znam! Sto razy miałem z nim podobną przeprawę i zawsze w końcu sam się z pieniędzmi napraszał. Zdziwił się, gdy mu wypłaciłem należność i miał słuszną. Każdy przytomny człowiek zdziwiłby się, widząc, że ktoś sobie dobrowolnie pętlę na szyję zakłada.

Odwrócił się i krzyknął na służące:

– No, cóż stoisz? Podaj salopkę, kapturek! Do sądnego dnia czekać nie będę!

Wyrwał z jej rąk białe kamasze, przykląkł przed Stasią, siedzącą na kanapie i drżącymi rękoma zaczął jej na nóżki naciągać.

Dziewczynka wylękła patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma. W pokoju zaległa cisza, słychać było tylko drobne kroki służącej i urywany oddech Karola.

Postawił Stasię na ziemi, wpatrzony w nią nakładał szybko paltot. Podbiegł do biurka po kapelusz.

– Bierz dziecko! – zawołał na służącą.

Wyszedł; za nim sługa, owita chustką, poniosła Stasię.

Dziś, po wielu latach, przypominając tę chwilę, uczuвам dziwny chłód w sercu...

W mieszkaniu zrobiło się naraz pusto, smutno, jak po wyniesieniu nieboszczyka...

Drzwi od kuchni otwarte na rozcież... w szarej atmosferze snuły się sinawe obłoczki dymu... pośrodku pokoju na dywanie leżał żółty pantofelek Stasi. Wodziłam wzrokiem dokoła i wciąż do tego pantofelka wracałam. Na razie nie czułam ani żalu, ani bólu; odeszli, bo im nic więcej, prócz życia swego, dać nie mogłam. Odeszli! Stałam na tym samym miejscu, gdzie przed chwilą, długą jak wieczność, wysłuchiwałam czulego monologu.

– Jak się to wszystko prędko skończyło! – powtarzałam sobie w duszy.

Przymrużałam oczy i zdawało mi się, że naprawdę wszystko wokoło zamarło. Słów nie pamiętałam, wiedziałam tylko, że jak ostrze miecza przecięły wszystkie nici, łączące nasze serca. Zerwane struny uczucia nie krwawiły się nawet – zdrewniały na razie – i dlatego może czułam się zupełnie spokojna, myśli tylko zebrać nie mogłam.

Służąca wróciła... sama! Odwrócona plecami do drzwi, nie patrzyłam na nią, widziałam jednak, jak wchodzi do pokoju z pustymi rękoma. To moje bielutkie, śliczne dziecko zostało gdzieś między ludźmi.

Nawet jęknąć z żalu nie mogłam – tak jakoś dziwnie skamieniałam od razu.

Bałam się, żeby sługa nie przemówiła do mnie, żeby powiedziała, gdzie ją zanieśli. Wiedziałam przecież. Bałam się usłyszeć głos ludzki; w uszach brzmiały mi wciąż dźwięki, które do śmierci może nie zamrą ostatecznie.

Zamknęłam się w sypialni. Za suknią moją, gdy przechodziłam przez pokój, żółty pantofelek przysunął się aż

do progu – zabrałam go z sobą. Na widok tego maleństwa lód ściskający serce, topnieć zaczynał.

Dzień był długi, bez końca. Czekałam zmroku, sama nie wiem dlaczego. Chciałam wyjść, a w dzień słońce raziłoby moje osowiałe oczy. O Karolu nie myślałam – byłam pewna, że on dzisiaj nie wróci, nie będzie mógł wrócić, tak jak ja na słońce wyjść nie mogłam.

Zaczynało zmierzchać. Służąca podała mi list przez drzwi uchylone. Otworzyłam go machinalnie, idąc ku oknu.

„Nie mogę!” – Spojrzałam na adres. List był do Karola – pismo Izy! – Aa! – „Nie mogę!” – pisała. – Niegdyś, podrażniona uczuciem, przerachowałam się z siłami. Dziś, wyczerpana, zdenerwowana, z wyziębionym sercem, żadnych obowiązków przyjąć nie mogę. Rozbudzone wspomnienia pierzchły jednocześnie z twoim odejściem. W tych dniach wyjeżdżam. Gdy się znowu kiedyś spotkamy, może wdzięczny mi będziesz, że nie skorzystała z chorobliwego usposobienia. Jesteś cierpiącym! Ze wszystkich dawniejszych uczuć zachowałam dla ciebie szczere współczucie. Dziecko będzie dla ciebie pociechą i osłodą, mnie zaś przypominałoby zbyt ciężkie chwile życia. Matki już jej nie zastąpię. Po cóż więc ma być podwójną sierotą? Wybacz! *Tout passe, tout casse, tout lasse*. [fr. dosł. *Wszystko przemija, wszystko się łamie, wszystko nuży*. przen. *Nic trwałego na świecie*] Iza”.

Niemal jednocześnie z listem wrócił Karol. Maks przywiózł go z biura z szalonym bólem głowy. Kiedy przechodził przez pokój, strasznie blady, podtrzymałam go pod ramię, doprowadziłam do łóżka. Przymknął oczy, żeby na mnie nie patrzeć.

Maks został w pierwszym pokoju. Stał przy stole w paltocie, z kapeluszem w ręku.

– Rozporządzaj mną, pani – rzekł do mnie zawsze nosowym głosem. – Już jestem po obiedzie. Może trzeba pójść

do apteki, czy po doktora? Może? Niech pani mną rozporządza bez ceremonii; ja przecież go nie opuszczę, to mój najlepszy przyjaciel.

Dotrzymał słowa. Przez cały czas choroby był naszym domownikiem – robił, co mógł, patrzył mi w oczy i wyczekiwał rozkazów.

W pierwszych dniach, kiedy choroba rozwijała się z niesłychaną szybkością, nie zwracałam na niego uwagi, nie wiedziałam, co robi. W nocy tylko z przelotnej drzemki u łóżka chorego budziło mnie ciche stąpanie: to Maks w skarpetkach skradał się do łóżka, patrzył w twarz chorego. Słuchał oddechu, czasem ręką do czoła dotknął i obudził go przez zbytnią troskliwość.

– Ha, umrze najpewniej! – powtarzał do mnie nasepiony, a parę razy coś nawet nadmieniał... o testamencie.

Zjawiał się najakuratniej prosto z biura; a jeżeli nie było żadnych sprawunków do załatwienia, siadał na jesionowej kanapie, schylony we dwoje, kiwał z wolna nogami i wpatrywał się w swoje buty. Jak tylko stanęłam na progu sypialni, zrywał się z miejsca, mrugał ocieężałymi powiekami.

– Może co trzeba? – zapytywał. – Ja pójdę... zrobię... Niech pani mną rozporządza...

Gdy niebezpieczeństwo minęło, powoli odzyskał swą protekcyjną powagę, ale chorego nie opuszczał, przesiadywał całymi godzinami u łóżka albo na kanapie, zawsze milczący i zawsze gotowy do usług.

– A wszystko to dlatego, że mnie nie słuchał! – rzekł raz do mnie, stojąc w progu sypialni i brodą wskazując na wpółmartwego Karola. – Ten człowiek był na najlepszej drodze. Każdy inny na jego miejscu miałby i swoją kamienicę bez długu i może drugą by kupił. On sam wszystko zepsuł. A teraz nie czas już żałować. Do zdrowia wróci, ale fortuny już nie złapie.

Pokiwał głową smutnie i usiadł na zwykłym miejscu na kanapie. Tym razem nogami nie kiwał – rachował coś w myślach, a jednocześnie i na palcach rachował.

Raz przyniósł dwie butelki wina, owinięte w różową bibułę. Tegoż dnia wujenka przysłała kosz starych wódek. Jak tylko kosz w kącie spostrzegł, stanął trochę zakłopotany. Butelki już swoje przede mną na stole postawił – cofnąc niezręcznie, a zostawiać nie widział potrzeby.

Byłam już wówczas zupełnie spokojna. Zaśmiałam się serdecznie z jego zakłopotania i sama pomagałam mu włożyć butelki do kieszeni paltota. Zaprzyjaźniliśmy się podczas choroby Karola. Całował mnie po rękach i nazywał „świętą kobietą”! On pierwszy oznajmił mi, że wierzyciele wystawili dom nasz na licytację, że ratować niepodobna, gdyż w najlepszych razie sprzedaż ledwo trzecią część długów pokryje.

– Inni pójda z kwitkiem – dodał z muzułmańskim spokojem. – A był czas, że mógł wszystkiemu zaradzić.

Ta niezaradność Karola bolała go widocznie. Nie mógł mu darować zaniedbanego szczęścia.

– Każdy inny na jego miejscu potrafiłby skorzystać! – powtarzał z lekkim westchnieniem.

Myślał zapewne o sobie.

On też w kilka miesięcy potem kupił naszą kamienicę.

Byliśmy już wówczas na prowincji, w małej powiatowej mieścinie, gdzie Karol otrzymał posiadłość bardzo przyzwoitą, z którą jednak na razie nie mógł się pogodzić. Jak niegdyś w mieszkanku nad stajniami, tak potem w owej mieścinie, byliśmy wciąż jak na popasie: mebli żadnych, najpotrzebniejszych sprzętów kupować nie chciał, wyczekując wciąż czegoś... powrotu do Warszawy, manny niebieskiej, czy wielkiej wygranej na loterii? Znajomości żadnych nie zawierał, nie znał się nawet z kolegami. Gdy szedł błotnistą

ulicą, sztywny, elegancki, w złotych okularach, z pogardliwym uśmiechem na zaciśniętych ustach, wyglądał jak wielki pan, zwiedzający przypadkiem miasteczkę, której nazwy nawet nie pamiętał.

Krażyły też o nim różnorodne historie. Uchodził za zbankrutowanego magnata; opowiadano, że stracił majątek z powodu smutnych wypadków, to znów, że przehulał milionową fortunę, a w każdym razie przypisywano mu przeszłość świetną, burzliwą, otoczoną urokiem bogactwa i wielkopańskiego szyku.

Przeszłość taka imponowała pocziwym ludziskom. Człowiek, mający niegdyś „miliony”, był prawdziwym unikatem w miasteczku, gdzie najbogatszy Żyd miał zaledwie parę drewnianych domów i kozę, żywiącą się na rynku cudzym sianem. Oglądano się na Karola, gdy przechodził ulicą; ustępowano mu z drogi z pewnym uszanowaniem; w rozmowie każdy miał sobie za obowiązek zrobić pewna aluzję do dawnych dobrych czasów.

Na wzmiankę o przeszłości Karol zamyślał się, brwi ściągał, przybierał minę człowieka, który w istocie dużo stracił, wiele przeżył, zostawił za sobą szeroką drogę wybrańców, a wszedł na ścieżynkę przeznaczoną dla tłumu, z którym nic a nic nie ma wspólnego.

– Ach, cóż robić! – odpowiadał ponuro księdzu, aptekarzowi lub doktorowi. – Cóż robić! Fortuna kołem się toczy!

Eleganckim ruchem przesunął rękę po czole i spod przymrużonych powiek spoglądał na swego słuchacza. Wzdychali obaj, ksiądz, doktor lub aptekarz, do owych niebywałych milionów, a Karol... nie wiem do czego.

Życie nasze w miasteczku, w porównaniu z warszawskim, było prawdziwym rajem: bez długów, bez zbytkownych wydatków, bez szachrajstw, które się przez

grzeczność „interesami” zowią. Zamiast ślęczeć w okopconym biurze, pilnował robót na plancie kolei, był w ciągłym ruchu, na świeżym powietrzu, utył, wyzdrowiał, odmłodził nawet. Pomimo tego przez długi czas nie mógł się odzwyczaić od banalnych frazesów. „Gdy wrócimy do Warszawy” albo „Gdy wyjedziemy z tej głuszy” – powtarzał niemal co dzień. Próbował nawet pisywać listy do dawnych znajomych... na które jakoś nie było odpowiedzi. Parę razy telegrafował z powinszowaniem w dzień imienin do wybitniejszych dygnitarzy, lecz telegramy ginęły w otchłani, dzielącej wielkich od maluczkich.

Powoli zaczął się oswajać ze swym położeniem, kupił nawet meble do bawialni.

– W razie wyjazdu będzie można sprzedać – dodał w nawiasie, więcej z nałogu niż z przekonania.

Mieszkaliśmy za miastem. Przy domku był ogród, w którym Stasia od rana do nocy tarzała się w piasku, przewracała kozły na trawie, poznawała się z motylami, ptakami, z całym światem owadów i kwiatów; z wątłej laleczki przemieniła się w zdrową, rumianą, trochę zamorusaną dziewczynkę.

Z początku Karol nie mógł się oswoić z tą metamorfozą. Wzruszał ramionami i parę razy nadmienił coś o „macoszej opiece”. Ale kiedy dziewczyna, pomimo ogorzałej cery, z każdym rokiem wydawała się piękniejsza, pogodził się z „dzikim” wychowaniem.

Teraz powrót do Warszawy odkłada do czasu, gdy ona wyrośnie na „cudownie piękną pannę”. Tymczasem osiwił, stracił zęby i jest wzorowym mężem. Od ostatniej choroby bowiem potrzebuje szczególniejszej troskliwości: kaszle często, łatwo się przeziębia i powoli zaczyna się przyznawać do starości.

Z wiekiem jednak nabywa coraz więcej cnót domowych. Po całych wieczorach kładzie pasjansa; w niedziele i święta cały dzień chodzi w szlafroku i pantoflach; powoli nawet zaczyna dysponować obiady i zaglądać do spiżarni.

W chwilach rozrzewnienia, gdy jest cierpiący albo gdy słota lub zimowa zawieja odetnie nas od całego świata zmusi do kilkudniowego sam na sam, dawne dzieje przychodzą mu na myśl. Dziś jeszcze nadmienia czasami, że... że zmarnował moje życie... że... czuje się winnym, bo ja bym mogła błyszczeć na świecie. Wyrzuca sobie tylko to, że mnie świętego bytu dać nie może... Tylko!

Nie potrzebuję go przekonywać, że ten jeden grzech w moich oczach nigdy grzechem nie był. Nie uwierzyłby, nie zrozumiałby mnie nawet.

Za to coraz częściej nazywa mnie „mateczką”.

– Masz dwoje dzieci – powtarza zawsze jeszcze z czarującym uśmiechem. – Zmartwienie z powodu starszego może z czasem wynagrodzi młodszą.

Całuje mnie przy tym w rękę z dawną galanterią.

Maks odwiedza nas czasami. Utył, razem z kamienicą nabył dużo trywialnego humoru. U nas korzysta ze wszystkich praw przyjaciela domu, wypala najlepsze cygara, dysponuje obiady i gderze wszystkim po trosze. Za każdym razem muszę mu kupować zwierzynę i masło, które zabiera z sobą do wagonu obwinęte w rogoże. On za to obiecuje Karolowi na stare lata rządcostwo w swojej kamienicy, klepie go przy tym po ramieniu i kiwa głową znacząco.

Józefa Sawicka
Druga żona

Redakcja: *Anna Oldak, Hanna Milewska*

Projekt okładki:
STUDIO OŻYWIANIA KSIĄŻKI KARTALIA

Copyright © for the e-book edition
by FUNDACJA FESTINALENTE 2014

Warszawa 2014

ISBN 978-83-7904-282-1, Festina 2014

Fundacja Festina Lente
ul. Nowoursynowska 160B/7
02-776 Warszawa



FUNDACJA
FESTINALENTE

www.festina-lente.org.pl



www.chmuraczytania.pl



www.eLib.pl